◆ MIKOŁAJ LESKOW ◆ JERZY SZANIAWSKI ◆ WŁADYSŁAW TOMCZYK ◆ ALEKSANDER WAT ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 21 sierpnia 1949 r. | Nr 34 (247)

MARIAN BRANDYS

Włochy z bliska

MARCO Z PIAZZA DEL POPOLO

W każde niedzielne lub świąteczne przedpołudnie — o tym samym mniej więcej czasie, gdy rodzina C. wyrusza uroczyście do kościoła ze swego mieszkania przy Piazza di Spagna — na Piazza del Popolo, oddzielonym od Piazza di Spagna tylko ulicą Babuino — Marco G. najgorliwszy z kolporterów komunistycznego dziennika „Unita" rozpoczyna żarliwą walkę o serca i umysły rzymian.

Rozpowszechnianie partyjnego organu „Unita" nie jest zwykłym kolportażem zwykłego pisma, lecz rozpracowaną na wielką skalę akcją społeczno-polityczną, w której uczestniczą dobrowolnie wszyscy członkowie partii, poczynając od najwybitniejszych przywódców włoskiego ruchu robotniczego, jak Togliatti, Longo, Secchia, Terracini i inni, a kończąc na szarych rzeszach prostych żołnierzy partyjnych — takich właśnie jak Marco G. W każde świąteczne przedpołudnie, gdy okrągły i rozżarzony do białości Plac Ludu przypomina wielką tarczę zegara słonecznego — w skąpym cieniu prastarego obelisku

Robotnicy włoscy przy posiłku

egipskiego, który jest tego zegara wskazówką — Marco walczy o pozyskanie nowych czytelników dla swojej „Unity". Sprzedaż „Unity" w tym sensie, w jakim ją pojmuje Marco, nie jest sprawą łatwą. Członków i sympatyków P. C. I. (Włoska Partia Komunistyczna) nie trzeba wprawdzie zachęcać do kupna jedynego wielkiego dziennika włoskiego (poza bratnią „Avanti"), uniezależnionego od wpływów mediolańskich bankierów i przemysłowców — gdyż kupują go sami. Ale ci dobrowolni i pozyskani już na zawsze odbiorcy „Unity" nie zadowalają młodego kolportera z Piazza del Popolo. Marco pragnie aby „Unitę" czytali wszyscy. Dlatego też całą siłą swego młodzieńczego zapału atakuje także opornych — tych opornych, których jego zdaniem można i powinno się pozyskać dla sprawy. Zaczepia więc przede wszystkim biednie ubranych rzemieślników rzymskich, którzy w otoczeniu rodzin wychodzą po nabożeństwie z kościołów: Santa Maria in Montesanto, Santa Maria dei Miracoli i Santa Maria del Popolo. Podsuwa im natrętnie przed oczy prosty czarny tytuł, potępiany ze wszystkich ambon. Nie zraża się ich pogardliwym wzruszeniem ramion czy brutalnym ofuknięciem. Płomieniem czarnych oczu i żarem swej wymowy przepala najgrubszy mur obojętności. Prowokuje ich do dyskusji tak długo, aż wreszcie włoskie temperamenty tamtych zapalają się od jego włoskiego temperamentu. Wówczas zaczyna się dyskusja i argumenty krzyżują się i błyskają jak klingi noży. Nie, to nie jest zwykła sprzedaż gazety. To jest walka o dusze, o sumienia, o światopoglądy, a ponad to o rzeczy najbardziej konkretne i życiowe. I kiedy obserwuje się Marco G., sprzedającego swoją „Unitę" — trudno oprzeć się wrażeniu, że w młodym komuniście włoskim pali się iskra tego samego żaru, jaki ongiś rozpłomieniał największe duchy jego kraju: Arnolda z Brescji, Galileusza i Giordana Bruno. Marco niewiele wie o tamtych wielkich umarłych, ale gdyby mu o nich opowiedzieć — na pewno nie zdziwiłby się porównaniu. Całą mocą przekonania wierzy przecież, że czyni właśnie to, co czynili tamci: wskazuje ludziom drogę do prawdy.

Marco G. urodził się jako syn małorolnych chłopów w kamienistej i spalonej przez słońce Kampanii — lecz większą część swego osiemnastoletniego życia spędził w chłodnym Tyrolu włoskim — w domu krewnego matki, starego i zdziwaczałego kelnera „trattorii" w miasteczku L. pod Bolzano.

Od podalpejskiej miejscowości L. do rozsłonecznionego Piazza del Popolo w Rzymie — prowadzi długa i uciążliwa droga. Drogę tę Marco przebył pieszo latem 1948 roku. Włoski Tyrol jest punktem zbornym bogatych turystów z całego świata — ale w tym kraju sławnym ze zdrowego klimatu podgórskiego ubogiemu Włochowi z południa ciężko jest oddychać. Na ziemię tamtejszą i na dusze tamtejszych ludzi pada chłodny i mroczny cień od Alp. Posępni, opici piwem górale tyrolscy różnią się w tym samym stopniu od pogodnych i łagodnych ludzi z południa — w jakim drapieżny krajobraz alpejski odbiega od pastelowych pejzaży Kampanii i Kalabrii. Tyrolem włoskim rządzą w sposób absolutystyczny księża wiejscy, przypominający ponurych eklezjastów ze starego testamentu — oraz niemieckie stronnictwo katolickie „Volkspartei", którego zasadniczym, choć zatajonym celem jest oderwanie tej dawnej prowincji austriackiej od Włoch i przyłączenie jej z powrotem do niemieckiej macierzy. W tyrolskich piwiarniach każdy dźwięk mowy włoskiej wywołuje niecierpliwe psykania i tylko z trudem tolerują tu hałaśliwych i beztroskich przybyszów z południa. Ale po trzykroć biada takiemu przybyszowi jeżeli na domiar złego jest on komunistą.

Manifestacja przeciw Paktowi Atlantyckiemu

Walki z policją w czasie manifestacji

Marco „przystał" do komunistów w gorące dni lata 1944 roku, kiedy przez całe Włochy — od Sycylii po Alpy — przebiegał potężny wstrząs rewolucji antyfaszystowskiej. Pod koniec lipca — gdy w niedalekim Salo marszałek Graziani odbierał defiladę hitlerowskiej dywizji księcia Borghese — Marco opuścił nocą izdebkę wiecznie zastraszonego wuja-bigota i wraz ze starszym kolegą Silvio ze związku kelnerów uciekł do jednego z operujących w okolicy partyzanckich oddziałów robotniczych im. Garibaldiego.

Były to naprawdę wielkie dni: pachnące prochem, krwią i nabrzmiałe od entuzjazmu. Piętnastoletniemu Marco dano w ręce karabin i tym karabinem bronił północno-włoskich fabryk przed wycofującymi się oddziałami niemieckimi, a potem maszerował z nim przez ulice Mediolanu, rozbrajając faszystowskich niedobitków. Wtedy to — przebywając stale w gromadzie uświadomionych i płonących żądzą odwetu, robotników lombardzkich — Marco został komunistą. Został komunistą tak samo, jak zostało wówczas komunistami wielu młodych chłopców włoskich, którzy dopiero co opuścili szeregi „Ballili": nie z głębokiego przemyślenia i świadomej decyzji — ale z zapału, z antyfaszystowskiego buntu, z młodzieńczego instynktu walki.

Rewolucja antyfaszystowska nie trwała długo. Stłumił ją mieszczański rząd uwolnionego od faszyzmu państwa. Wyzwolone przez robotników fabryki objęli z powrotem przedstawiciele koncernów i trustów, a partyzanci zakopali karabiny do ziemi, aby nie wydawać ich w ręce okupacyjnych wojsk i nie budzącej zaufania policji. Wtedy Marco wraz z Sylviem powrócili do domu w L.

W miasteczku na szczęście nikt — poza wujem — nie dowiedział się o partyzanckiej „awanturze". Zastraszony wuj uczynił wszystko, aby zatrzeć ślady grzechu siostrzeńca. Pod wpływem nalegań i pogróżek krewnego Marco oddalił się od Sylvia. Wkrótce po tym nadarzyła się praca „piccolaka" w jednej z piwiarni. Ponadto na horyzoncie życia młodego przybysza z południa pojawiła się Francesca, córka miejscowych sklepikarzy — cicha i smukła jak podalpejskie świerki. Nieumocniony niczym i przypadkowy komunizm Marca począł się stopniowo rozpływać w troskach i radościach powszedniego dnia miasteczka L. Trwało tak do lata 1948 roku.

Dla Włoch nadeszły w tym czasie znowu gorące dni. W dwa miesiąca po wyborach kwietniowych, w dalekim Rzymie, do wychodzącego z gmachu Parlamentu, przywódcy włoskiego ruchu robotniczego Palmiro Togliattiego, nasłany morderca strzelił cztery razy z rewolweru, raniąc go niemal śmiertelnie. Na ten ohydny zamach cały włoski świat pracy odpowiedział strajkiem powszechnym. Do małego miasteczka tyrolskiego dochodziły tylko przytłumione odgłosy ogólnowłoskiej burzy. Nad spokojem w miasteczkach tyrolskich skuteczniej od policji czuwała proaustriacka „Volkspartei", którą włoska Chrześcijańska Demokracja, nie bacząc na jej antynarodowy charakter, powołała na sprzymierzeńca w walce z włoskimi robotnikami.

W jednym z tych dni na ulicy miasteczka L. pobito do nieprzytomności komunistę Silvia ze związku kelnerów. Teraz Marco, nie zważając już na nastroje miasteczka i przestrogi wuja, poszedł odwiedzić przyjaciela. Rozmawiali długo. Pobity Silvio znowu powtarzał słowa z wielkich dni przed czterema laty. O walce robotników z koalicją kapitalistów, obszarników i kleru. Ale tym razem słowa te nie przemawiały już do Marca tak przekonywująco jak dawniej. Brak było atmosfery tamtych dni entuzjazmu i buntu. Powrócił do pracy z lekkim tylko niepokojem sumienia.

I jeszcze następnego dnia przed południem, kiedy podawał cztery kufle pieniącego się piwa do jednego ze stolików natłoczonej „trattorii", nie uwierzyłby zapewne, gdyby mu powiedziano, że czyni właśnie ostatni krok ku węzłowej stacji swego życia.

Przy stoliku siedziało kilku ponurych piwoszów z „Volkspartei", rozprawiających głośno owym obmierzłym dla włoskiego ucha gardłowym dialektem podalpejskim, z którym Marco zdążył się już był oswoić. Mówiono o polityce. Padło nazwisko Togliattiego. Jeden z piwoszów powiedział ze wściekłością: „Szkoda, że nie zatłukli tego komunistycznego psa".

Wtedy oczy Marca zalała fala ciemnej krwi. Znowu na chwilę ogarnął go zapach zapomnianych, wielkich dni. Przypomniały mu się wszystkie słowa, usłyszane od Sylvia. Całym rozmachem rąbnął o stół kuflami tak, że pieniste piwo polało się na oslupiałych członków „Volkspartei". Krzyknął im po włosku w zdumione twarze: „To wy jesteście podłe psy. To was należy zatłuc. Togliatti jest jednym z największych Włochów". Nie pobili go. Spytali tylko: jakby ze zdziwieniem: „To ty jesteś komunistą?" Marco odpowiedział: „Tak, jestem komunistą". Podnieśli się ociężale i pożegnali go złymi uśmiechami: „Ano, jeżeli jesteś komunistą, to... zobaczymy".

Zobaczył jeszcze tego samego dnia wieczorem. Właścicielka „trattorii" wezwała go do tylnego pokoiku na rozmowę. Oczywiście z żalem. Bo był dobrym, tanim pracownikiem, i nawet — o dziwo — lubianym dotychczas przez gości „trattorii". Ale „Volkspartei" jest silna i nie pozwala zatrudniać komunistów. Dlatego musi sobie odejść z Bogiem. Natychmiast. Na cztery wiatry. To był dopiero początek. Następnego dnia wymówiono pracę jego wujowi. Tym razem nie uchroniła przezornego krewnego zwykła ostrożność, ani nawet codzienne modlitwy w kościele. Czyż nie on wyhodował na swym łonie komunistyczną żmiję? Stary rozchorował się ze zgryzoty, ale wyrodnego siostrzeńca — przyczynę nieszczęścia — zdążył jeszcze przegnać precz ze wspólnej izdebki. W ciężkim strapieniu Marco poszedł szukać pocieszenia u swojej Franceski „cichej i smukłej jak podalpejskie świerki". Nie udało mu się z nią zobaczyć. Od drzwi narzeczonej odpędziła go na zawsze jej rozwścieczona i rozkrzyczana matka-sklepikarka. Duszami sklepikarek z włoskiego Tyrolu władają niepodzielnie księża, a eklezjaści z L. odmawiają rozgrzeszenia kobietom, które obcują z komunistami.

Tego już było za wiele dla Marca. Pomyślcie tylko: za jedną chwilę słusznego uniesienia w ciągu dwóch dni utracił pracę, mieszkanie, wuja i narzeczoną. Południowa krew zawrzała mu w żyłach. Postanowił walczyć o sprawiedliwość.

Wśród gości „tratorii" Marco poznał w swoim czasie dziennikarza, który w pobliskim Bolzano prowadził oddział wielkiego „niezależnego" dziennika północnych Włoch — „Corriere della Sera". Poszedł więc Marco pieszo do Bolzano i młodemu przyjaźnie uśmiechniętemu panu przedstawił solennie spisany rejestr swoich krzywd. W miarę czytania pisma Marca — twarz dziennikarza stawała się coraz bardziej chłodna i obca. Po skończeniu odsunął od siebie zapisany papier i powiedział z niechęcią: „Tego, niestety wydrukować nie możemy". — „Ale dlaczego" — spytał zdumiony Marco.— Bo takimi sprawami nasz dziennik się nie zajmuje. Wtedy Marco krzyknął z rozpaczą: — „Więc nie piszcie na waszym dzienniku, że jest niezależny, jeżeli nie możecie drukować w nim prawdy". Jednocześnie odwrócili się do siebie plecami. Dalsza rozmowa była bezcelowa.

Sylvio, który go przygarnął i żywił za swe ostatnie grosze, po wygnaniu przez wuja — powiedział: „Napisz do „Unity". To jedyna droga. I Marco wysłał list do Rzymu — do dalekiej „Unity".

Po tygodniu Sylvio wrócił do domu, radośnie potrząsając numerem gazety: „Masz czytaj, jest twój list". — Marco poczuł dławienie w gardle. List wydrukowano w całości.

„Unita" wydrukowała list chłopca z L., ale bynajmniej się nim nie rozczuliła. Redakcja od siebie dodała tylko suchy komentarz: „Oto jeszcze jedna ofiara antyludowej koalicji": „Volkspartei", reakcyjnego kleru i panów z „niezależnych" dzienników.

Ten suchy krótki komentarz „Unity" stał się dla Marca błyskawicą, która w mgnieniu oka rozświetla całą drogę życia. Dopiero teraz w nagłym olśnieniu zrozumiał, czym jest owa antyludowa koalicja, o której mówił Sylvio. Ta koalicja, to byli oni: czterej posępni członkowie „Volkspartei", właścicielka „trattorii", ksiądz z L. i gładki redaktor z Bolzano. Silna bezlitosna koalicja, która zawarła przymierze, aby jemu — dziecku ludu odebrać pracę, chleb, dom, rodzinę, radość życia, aby mu odmówić sprawiedliwości, aby go pognębić poniżyć i zniszczyć. I jedynym ratunkiem przed tą antyludową koalicją, jedynym sposobem walki z nią — jest robotnicza komunistyczna „Unita" w dalekim Rzymie.

Następnego dnia Marco spakował swój skromny węzełek i pożegnał się z Sylviem: — „Idę do Rzymu. Będę pracował dla „Unity".

*

Ilekroć w niedzielne lub świąteczne przedpołudnie przechodzę przez zalany słońcem Piazza del Popolo — spotykam tam zawsze Marca G., krzątającego się przy swej robocie. Już z daleka szczerzy do mnie zęby białe jak jądro włoskiego orzecha i radosnym głosem komunikuje mi swoje zwycięstwa: — „Sprzedałem dziś dwadzieścia egzemplarzy „Unity". — W języku pojęciowym Marca oznacza to: nawróciłem dziś dwudziestu zbłąkanych na drogę prawdy.

Ale w ową marcową niedzielę, która kończy gorączkowy tydzień ulicznych manifestacji przeciwko podpisaniu Paktu Atlantyckiego — nie znajduję Marca na jego zwykłym posterunku. Nie znajduję go również w nędznej komórce, którą odnajmuje od pewnej starej kobiety w dzielnicy Trastevere.

Albowiem tego samego dnia, kiedy w mieszkaniu przy Piazza di Spagna „pittore" Marco C. uległ atakowi histerii — Marca G. manifestującego przeciwko wojnie na Piazza Colonna, zaatakowała policja. Pobitego pałkami wyrwano z tłumu i uwieziono na policyjnym „jeepie". Widziano go jak odjeżdżał przytrzymywany przez dwóch rosłych karabinierów. Wołał — „Viva la Pace" — i był uśmiechnięty. Ufał, że jego „Unita" ujmie się za nim.

Bezrobotni w porcie Livorno

O aresztowaniu Marca opowiedziała mi ze szczerym żalem jego stara gospodyni z Trastevere. Do prostego i uczciwego serca tej głęboko wierzącej katoliczki zakradła się po raz pierwszy dręcząca wątpliwość, czy rząd, z którym tak zajadle walczy ten dzielny i szlachetny Marco — jest naprawdę dobrym chrześcijańskim rządem.

Marian Brandys

PASY CNOTY

Muzeum watykańskie postanowiło założyć niektórym rzeźbom antycznym gipsowe przepaski.

WŁADYSŁAW TOMCZYK

DOBROBYT W AMERYCE WZRASTA...

Zniżkowy ruch cen, wzrost bezrobocia i powolne, lecz sale ograniczanie produkcji w St. Zjednoczonych, od dłuższego czasu niepokoi ekonomistów i publicystów wielkiej prasy amerykańskiej. Dokłada ona wszelkich starań, by zarysowujący się kryzys gospodarczy przedstawić opinii publicznej w możliwie najmniej alarmujący sposób. Na łamach prasy amerykańskiej toczą się uparte i zawiłe spory terminologiczne na temat czy gospodarka Stanów znajduje się w stanie „recesji" czy może już — „depresji" ekonomicznej; czy okres „recesyjny" osiągnął punkt kulminacyjny, czy może osiągnie go dopiero w 1950 r., czy przyczyna zła tkwi w przeinwestowaniu przemysłu, czy też może w zbyt raptownym ograniczeniu tych inwestycyj itp. Prezydent Truman, przedstawiając niedawno Kongresowi półroczne sprawozdanie ekonomiczne, nie mógł — rzecz prosta — nie przyznać, że gospodarka Stanów wykazuje tendencje kryzysowe, jednak równocześnie oświadczył, że dziwi go nie tyle ich istnienie, ile fakt, że są one tak **„umiarkowane"**. Truman chwycił się więc taktyki, którą zresztą w dużym stopniu zastosowała poprzednio publicystyka amerykańska, bagatelizując poważne osłabienie, jakiemu uległo życie gospodarcze we wszystkich bodajże swoich dziedzinach. Efekt ten osiąga się w sposób prosty: zestawia się najrozmaitsze dane statystyczne, obrazujące stan obecny, z odpowiednimi cyframi z okresu głębokiego kryzysu 1929 roku. Takie porównanie bardzo łatwo wykaże to, co było z góry zamierzone: że dziś nie jest w Stanach tak źle, jak było w 1929 roku. W rozumowaniach tego typu, stosowanych „dla pokrzepienia serc" tkwi bardzo prosty błąd. Błąd ten polega na nieporównywalności wartości, które się porównuje. Rok 1929 był istotnie dnem kryzysu, zakończeniem tego normalnego w kapitalistycznej gospodarce periodu — natomiast rok 1949 należy do wstępnego okresu kryzysowej fazy w gospodarce St. Zjednoczonych. Byłoby rzeczą pochopną i lekkomyślną trudzić się rozwiązaniem pytań: jaki faza ta będzie miała przebieg, kiedy osiągnie swój punkt kulminacyjny i jakie wówczas rozmiary przybierze? Bardziej celowa i pouczająca wydaje się próba przedstawienia tych szczegółów sytuacji gospodarczej, które są najbardziej charakterystyczne dla położenia klasy pracującej, szerokiej masy konsumentów. Na ich bowiem barki kładzie się ciężar nadchodzącego kryzysu. Ich trud i wyrzeczenia mają ułatwić wielkiemu kapitałowi przetrwanie „lat chudych" i umożliwić nadejście „lat tłustych".

CO MÓWI SZARY CZŁOWIEK?

Znany amerykański badacz opinii publicznej, Elmo Roper, postanowił przyjrzeć się zagadnieniu nie od strony produkcji, lecz od strony konsumenta. Roper przeprowadził pomysłową ankietę, której wyniki ogłosił w majowym numerze miesięcznika amerykańskiego „Fortune", organu wielkiej finansjery. Wśród pytań i odpowiedzi, które dotyczyły dochodu, zadłużenia, posiadanej gotówki, możliwości znalezienia pracy, warunków zarobkowania itp. w latach 1948 i 1949, Roper wysunął na plan pierwszy i ze zrozumiałych powodów najszerzej skomentował pytanie następujące:

„Czy uważasz, że w porównaniu z ostatnim półroczem — łatwiej, trudniej, czy też równie łatwo przychodzi ci wiązanie końca z końcem "

Odpowiedź

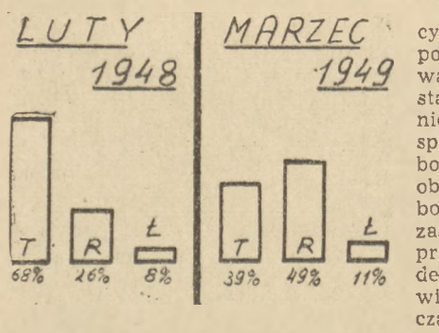

Roper biorąc pod uwagę zniżkowy ruch cen i zakładając — istniejącą na razie — pewną stałość zarobków, konkluduje, że w chwili obecnej konsumentowi w St. Zjednoczonych wiedzie się raczej lepiej niż poprzednio. Ta łatwość opędzania wydatków budżetu domowego, która winna — wedle intencji Ropera — uspokoić szarego człowieka — jest jednak bardzo nietrwałym elementem, której znaczenie blednie na tle dalszych odpowiedzi ankietowych. I tak, na pytanie:

„Czy dochód osobisty, w porównaniu z ostatnim półroczem, po potrąceniu podatków i innych świadczeń publicznych jest wyższy, identycznie taki sam, czy niższy?"

odpowiedziano

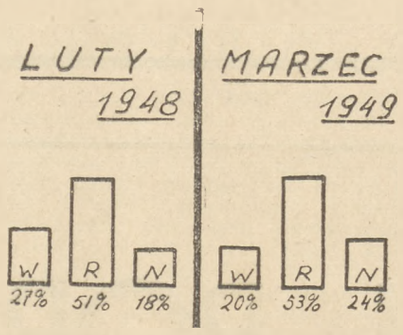

Wzrost ilości odpowiedzi wskazujących na zniżkę dochodu — zdaje się poważnie podważać twierdzenie Ropera o łatwości wiązania końca z końcem, oparte przede wszystkim na stałości zarobków. Roper zresztą zmuszony jest przyznać, że zniżkę dochodu osobistego **u robotników fabrycznych**, objętych ankietą, potwierdziło 33 proc., a więc o 9 proc. więcej od przeciętnej wszystkich otrzymanych odpowiedzi. Najlepszą jednak miarą niepokoju, jaki ogarnia ludność pracującą Stanów jest odpowiedź na poniższe trzy pytania:

„Gdybyś z dniem jutrzejszym porzucił swe dotychczasowe zajęcie, czy sądzisz, że uzyskanie innego równie dochodowego przyszło by ci trudno, przeciętnie trudno, czy łatwo?"

Odpowiedź

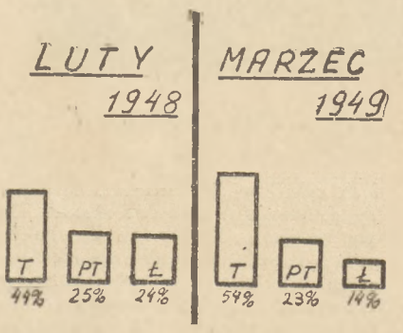

„Czy sądzisz, że po upływie sześciu miesięcy od chwili obecnej będzie w twoim zawodzie więcej, tyleż samo, czy mniej możliwości uzyskania pracy?"

Odpowiedź

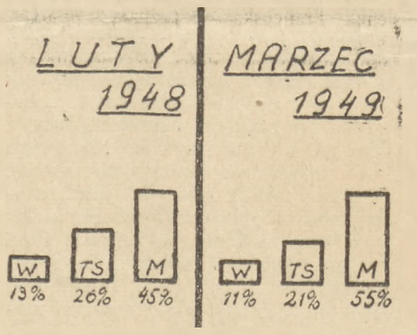

„Czy, biorąc pod uwagę sytuację obecną, uważasz, że w ciągu następnych dwu lat jest prawdopodobna umiarkowana, lecz połączona ze wzrostem bezrobocia, depresja gospodarcza?

Odpowiedź

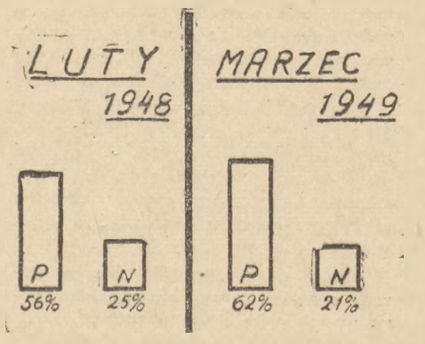

Wzrost wypowiedzi przewidujących nadejście kryzysu i spadek odpowiedzi przeczących — Roper uważa również za **„umiarkowany"** i stara się w swym komentarzu skłonić czytelnika do optymistycznego spojrzenia w przyszłość. Rozumie bowiem dobrze, że potęgująca się obawa przed utratą pracy i bezrobociem z jednej strony, z drugiej zaś przekonanie o stałej zniżce cen prowadzi do pogłębienia procesu deflacji: konsument skłonny jest bowiem do oszczędzania gotówki „na czarną godzinę", jednocześnie zaś spodziewa się, że odkładając zakupy na jutro lub pojutrze wyda mniej dolarów, niż gdyby uczynił to dzisiaj. Tej właśnie zrozumiałej tendencji deflacyjnej Roper stara się przeciwdziałać, uciekając się do pewnego rodzaju psychologicznego nakręcania koniunktury. Chwytu tego używa zresztą cała wielkokapitalistyczna prasa amerykańska. Czy rokuje on powodzenie?

Istotnym wykładnikiem pozytywnego poglądu na szanse osobistego powodzenia, niezależności materialnej itp. jest m.i. gotowość do zawarcia małżeństwa i założenia rodziny. Warto więc przyjrzeć się statystyce małżeństw, opublikowanej w czasopiśmie „U. S. News and World Report" (numer z 10. VI. br.):

1946 r. zawarto związków małżeńskich — 2.291.000
1947 r. „ „ „ — 1.992.000
1948 r. „ „ „ — 1.815.000
zaś w 1949 r. wg danych szacunkowych — 1.600.000 małżeństw zostanie zarejestrowanych.

Można więc i należy powątpiewać o skuteczności psychologicznego nakręcania koniunktury.

CO MÓWIĄ CYFRY?

Otwieramy 9-ty tom publikacji p.t. „Labor fact book", wydanej w New Yorku w roku bieżącym przez Labor Research Association, stowarzyszenie, związane z postępowymi kołami zawodowymi St. Zjednoczonych. Opublikowane w tym wydawnictwie cyfry i fakty, zaczerpnięte są z urzędowych publikacyj. m.i. nawet — Departamentu Przemysłu. Przyjrzyjmy się niektórym z nich.

Jest rzeczą wiadomą — dostatecznie przez burżuazyjnych ekonomistów rozreklamowaną — że nominalne płace robocze w St. Zjednoczonych wykazują — nawet po zakończeniu wojny — tendencję zwyżkową. Istotnie na przestrzeni trzech lat powojennych — od połowy 1945 r. do września 1948 r. — tygodniowy zarobek amerykańskiego robotnika wzrósł o 29,8 proc.

A oto tabelka ilustrująca czyste zyski spółek akcyjnych (w miliardach dolarów). po potrąceniu podatków i innych obciążeń:

Rok	Zyski ogółem
1945	8,7
1946	12,8
1947	18.1
1948	20,8

Zyski więc kapitalistów w trzyleciu 1946—1948 wzrosły okrągło o 65 proc.

Marks pisał: „Wszelkie metody wytwarzania wartości dodatkowej są zarazem metodami nagromadzania kapitału i odwrotnie — wszelkie rozszerzenie procesu gromadzenia kapitału staje się środkiem rozwoju tych metod. Z czego wynika, że w miarę jak nagromadza się kapitał, położenie robotnika musi się pogarszać niezależnie od tego, jak wysoki, czy niski jest jego zarobek".

Toteż słusznie, lecz bezskutecznie, domagały się postępowe koła związkowców amerykańskich podwyżki płac o 25 proc. bez podniesienia poziomu cen, dowodząc, że nawet wówczas spółki akcyjne mogłyby wykazać się zyskiem 14 miliardów dolarów przewyższającym więcej niż dwukrotnie poziom przedwojenny.

Relatywne (w stosunku do wzrostu zysków kapitalistów) pogarszanie się położenia klasy robotniczej występuje jeszcze wyraźniej przy zestawieniu minimum kosztów utrzymania przeciętnej 4-osobowej rodziny robotniczej z nominalnymi zarobkami. „Labor Fact Book" podaje życiowe minimum rodziny robotniczej na podstawie badań profesora Hellera z uniwersytetu kalifornijskiego. Budżet rodzinny Hellera, obliczony bardzo skromnie, pokrywać ma „podstawowe potrzeby ojca, matki, 13-letniego syna i 8-letniej córki". Porównanie cyfr hellerowskich z przeciętnym zarobkiem tygodniowym robotnika w okresie ostatniego 3-lecia przedstawia się następująco:

1946	68.77	45.41	23.60
1947	74.89	50.47	24.42
1948	79.06	54.18	24.88

Rośnie więc deficyt tygodniowy w budżecie rodziny robotnika, który otrzymuje pełną stawkę zarobku. Deficyt ten staje się — rzecz jasna — bardziej jeszcze dotkliwy wszędzie tam, gdzie głowa rodziny należy do robotników „częściowo zatrudnionych" (part-time worker). Ta zaś kategoria robotników — zmyślnie stworzona przez burżuazyjną statystykę gospodarczą dla zamaskowania bezrobocia, staje się coraz liczniejsza w Stanach. Wg danych oficjalnych ilość robotników, zatrudnionych mniej niż 14 godzin tygodniowo, wynosiła w marcu 1949 r. 2,3 miliona. Organ wielkiego przemysłu „News Week" (z 4 lipca 1949 r. podaje cyfrę zatrudnionych od 15 do 35 godzin tygodniowo w wysokości 6.547.000. Opierając się na tych burżuazyjnych źródłach, których szczerość pozostaje pod dużym znakiem zapytania, ilość częściowo bezrobotnych sięga 9 milionów.

A jak się przedstawia problem całkowitego bezrobocia? „Labor fact book" przytacza wyniki badań związku zawodowego pracowników przemysłu elektrycznego, wchodzącego w skład osławionego prawicowego CIO (Congres of Industrial Organisation). Badania te szacują ilość całkowicie bezrobotnych w marcu 1949 r. na około 5 milionów, co oznacza bardzo poważny, przeszło 60-procentowy wzrost bezrobocia w porównaniu z odpowiednim okresem roku ubiegłego, wykazującym 3 miliony całkowicie pozbawionych pracy.

SKOŃCZYŁ SIĘ „BOOM"

„W pierwszych miesiącach 1949 r. powojenny „boom" w Stanach Zjednoczonych przeobraża się w depresję o nieokreślonych rozmiarach" — czytamy w „Labor fact book". W ten nowy okres kapitalistyczna gospodarka Stanów wkracza z olbrzymią, 14 miliardową armią bezrobotnych i częściowo bezrobotnych. Wkracza — z wielomilionową masą ludzi pracy, których zarobki nie starczą na zaspokojenie minimum potrzeb życiowych, a ogólne położenie materialne pogarsza się bezustannie, podczas gdy niewiarygodnie szybko — jak nigdy do tej pory — rosną zyski cienkiej warstwy wielkich kapitalistów.

Litery pod rysunkami są początkiem użytych w pytaniach określeń: T — trudniej, Ł — łatwiej, R — równie trudno.

Kwoty procentowe podane w rysunkach po zsumowaniu niezawsze dają pełne 100 proc. Autor ankiety wyjaśnia to w ten sposób, że nie wszystkie odpowiedzi były dostatecznie wyraźne, by mogły zostać podciągnięte pod odnośną kategorię pytań.

Władysław Tomczyk

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

DUCH POETYCKI W MUZEUM NARODOWYM

„Duch poetycki czuję w sobie" pisał Mickiewicz w okresie gorączkowego tworzenia. I „duch" ten owiewa niejednokrotnie widza, zwiedzającego, imponujące bogactwem materiału zgromadzonego w trzynastu salach Muzeum Narodowego w Warszawie wystawy: Mickiewiczowską i Puszkinowską.

Bije on na nas z wielu pamiątek przemawiających głosem epoki, gdy na firmamencie poezji europejskiej jaśniał wspaniale cały szereg gwiazd o niedoścignionym już nigdy potem blasku! Czujemy na twarzy przejmujący jego powiew, gdy przyglądamy się tym wszystkim pożółkłym autografom i dokumentom, tym podobiznom bliskich poecie ludzi i miejsc.

Oto podobizna odpowiedniej stronicy w księdze metryk chrzestnych kościoła nowogródzkiego, gdzie ks. kanonik Antoni Postlett, nie przeczuwający wcale, nad kim to dokonał właśnie przed chwilą obrzędu, wpisał pod dniem 12 lutego 1799 r. akt chrztu niemowlęcia — Adama Bernarda... Oto „Literae Parentes" — oryginał świadectwa dojrzałości wydanego Mickiewiczowi przez szkołę nowogródzką. Oto najwcześniejsze jego podobizny, a tu znów — widok Wilna, takiego, jakie ukazało się przybyłemu tu w roku 1815 na studia, młodemu prowincjonalnemu chłopakowi. Oto — w oryginałach oraz w odbitkach fotograficznych — autografy jego wierszy, listów, odezw i t. p. pisanych stosownie do okoliczności, piórem, maczanym: raz w młodzieńczym zapale — raz w goryczy miłosnego zawodu, to w cieple szlachetnej, koleżeńskiej przyjaźni, to w chłodzie urzędowej procedury, tu — przez świadomego swych celów męża stanu czy wodza tam zaś — przez uginającego się pod ciężarem życiowym ojca rodziny lub też, po prostu — człowieka.

Niemniej głęboko przemawiają do nas wizerunki ludzi i miejscowości, w mniejszym lub w większym stopniu związane z jego życiem i twórczością. Podobizny członków najbliższej rodziny poety, uniwersyteckich jego profesorów, przyjaciół wileńskich, filomatów i filaretów, współwięźniów i współwygnańców dalej — zamieszkałych na obczyźnie rodaków i licznych „przyjaciół Moskali", towarzyszy niedoli emigracyjnej, świadków powstawania „Dziadów drezdeńskich" oraz „Pana Tadeusza", współuczestników działalności Mickiewicza z okresu towianizmu, z epoki „Trybuny Ludów", z lat: 1848 i 1855. O wielu z nich większość zwiedzających dowie się zapewne dopiero dzięki tej wystawie, wielu innych znanych dotychczas jedynie z nazwiska, zapamiętanego jeszcze z ławy szkolnej albo z późniejszej lektury, teraz dopiero pozna ich oblicza.

To samo, co o wizerunkach osób, powiedzieć można i o podobiznach tych wszystkich miejscowości, przez jakie przebiegała długa droga życiowa poety. Widzimy tu: Zaosie, Nowogródek, Wilno, Kowno Petersburg, Kijów, Odessę, Krym i Moskwę oraz cały szereg miast, zwiedzanych po wyjeździe z Rosji.

Największe wrażenie czynią oczywiście, na nas pamiątki, umieszczone tu nie w podobiznach lecz w oryginałach. Świadomość, że są to przedmioty, które w tej oto, zachowanej do dziś dnia ich postaci, miał poeta przed swymi oczyma czy też dotykał swoją dłonią, nadaje im niewypowiedziany urok. Oto miniatura młodzieńczej miłości poety, Maryli Wereszczakówny, którą to pamiątkę wywiózł on ze sobą z kraju i przechowywał wraz z „listami z Litwy", aż do swej śmierci. Oto autografy wierszy i listów. Oto własnoręcznie pisane dedykacje przyjacielskie na egzemplarzach pierwszych wydań jego dzieł. A tu znów jedna z najcenniejszych pereł i największych pamiątek narodowych słynny „Dzikowski", egzemplarz przepisanego przez Mickiewicza własnoręcznie „Pana Tadeusza", umieszczony w osobnej gablocie i sali, i w godnej jego blasku oprawie. I wreszcie — obok kolorowej szarfy, którą był przepasany podczas słynnej swej audiencji i papieża — najbardziej może wzruszające swą powszechnością i prostotą pamiątki: wypłowiały notatnik, szachy, które wszędzie woził ze sobą, zwykły kapciuch na tytoń, nieodłączny długi cybuch i kosmyk siwych włosów co niegdyś okalały dumne jego czoło...

Słabiej, rzecz prosta, reagujemy na cały szereg innych, wtórnego niejako pochodzenia, eksponatów, jak ilustracje do dzieł poety, kompozycje muzyczne napisane do, lub pod wpływem tychże dzieł, całe mnóstwo wydań jego utworów, w języku polskim i we wszystkich niemal językach świata oraz troskliwie skompletowana różnojęzyczna literatura Mickiewiczowskiej. Podziwiamy jednak bogactwo tych działów, napawające nas słuszną dumą. W dziale ilustracji, szczególniej wyróżniają się podkolorowane oryginały rysunków Andriollego. W reprodukcji tracą one wiele. Spójrzmy na rysunek, przedstawiający scenę przystrajania przez Telimenę Zosi przed jej „wyjściem w świat". Ileż wyrazu w tej dziewczęcej twarzyczce, w tych, i zalęknionych, i rozradowanych oczach! A jakiż wyraz ma wówczas twarz Telimeny? Tego nie widzimy, bo artysta, najpewniej celowo ukazał nam ją, stojącą do nas tyłem. Domyślać się więc tylko możemy, że ta twarz musiała w tej chwili mocno kontrastować z urokiem bijącym z całej postaci „czystej rozwódki", i że malowała się na niej prawdopodobnie ukrywana z trudnością zazdrość.

Gdy po napisaniu swego arcydzieła, Mickiewicz złamał pióro, następuje w jego życiu epoka, która przemawia do nas już nie tylko tamtym „poetyckim duchem" lecz i znacznie mocniejszymi uczuciami. Widzimy go w roli wykładowcy i działacza politycznego, filozofa i propagatora nauk „Mistrza" Towiańskiego, sympatyka ruchów rewolucyjnych i zatroskanego ojca i męża, wreszcie — wodza i umierającego na obcej ziemi tureckiej emisariusza. Wszystko to przesuwa się przed naszymi oczami w miarę jak przechodzimy do coraz to dalszych sal.

Dzięki zastosowaniu najwłaściwszej chyba dla tego rodzaju imprez koncepcji: rozmieszczenia zgromadzonego materiału według kolejnych etapów życiowych i twórczych poety, omawiana wystawa, największa niewątpliwie ze wszystkich dotychczasowych wystaw mickiewiczowskich, posiada odpowiednią przejrzystość i w kinematograficznym niejako skrócie ukazuje widzowi postać naszego wieszcza w jej naturalnej wielkości. Uważnie ją zwiedzić, to tak jakby przeczytać bogato ilustrowaną, nie napisaną jeszcze monografię życia i twórczości poety.

Toteż gorąco zachęcam każdego do skorzystania z okazji, jaka się nie prędko zapewne znów nadarzy i do obejrzenia tych wszystkich, tak troskliwie przez miłośników pamiątek narodowych zbieranych, a dziś tak skrzętnie zgromadzonych eksponatów. W okresie wytężonej pracy fizycznej czy też umysłowej, dobrze jest odetchnąć od czasu do czasu odmienną od powszedniej atmosferą.

Tyle pochwał dla samej imprezy oraz dla tych, co ją zainicjowali i zrealizowali. Jak każda jednak rzecz rąk ludzkich, tak i ta wystawa nasuwa cały szereg uwag krytycznych. Pierwsza z nich dotyczy pewnego nadmiaru, przeładowania jej, eksponatami. Odnosi się wrażenie iż organizatorom nie tyle chodziło o uzyskanie, w ramach niezbędnego minimum, wystarczająco pełnego obrazu całości, ile o zgromadzenie i pokazanie **wszystkiego**, czym dało się dysponować. Koliduje to ze zdolnością odbiorczą przeciętnego widza, która ma swoje granice. Stąd, zwiedzający przestają w pewnej chwili reagować na odbierane wrażenia i końcowe sale wystawy zwiedzają już tylko po łebkach i niemal bezmyślnie.

Tymczasem wystawa — to nie kolekcja. Uniknęłoby się na przykład w znacznym stopniu wspomnianego przeładowania, gdyby się nie dawało całych serii różnych „wersji" tego samego zasadniczo obiektu. Tak na przykład, wańkowiczowski motyw Mickiewicza wspartego o skałę u stóp Ajudahu powtarza się bez potrzeby około dwudziestu razy! Wystarczyłoby przecież pokazać, poza jednym z oryginałów, dwie — trzy najbardziej charakterystyczne wersje. Podobnie ma się sprawa z licznymi wersjami znanego „medalionu" wykonanego przez Oleszczyńskiego według rzeźby Dawida d'Angers. Obok braku wizerunków wielu osobistości z otoczenia wieszcza mamy po dwie podobizny braci Śniadeckich, Grodka, T. Zana, K. Jánischówny, Szymanowskiej i Orłowskiego. I w innych działach dałoby się również uzyskać pewne skreślenia i przez to uczynić całość bardziej zwartą i „czytelną".

Przechodzę do uwag szczegółowych. W pierwszej sali w gablocie zatytułowanej **„Kraj lat dziecinnych"**, figurują m. i. wizerunki wieśniaków żmudzkich. Co to ma wspólnego z oczystymi stronami Mickiewicza? Jeśli widział on takich wieśniaków, to dopiero za czasów kowieńskich, nie zaś w Zaosiu czy też w Nowogródku! Podobnie nie na miejscu jest tu karta z wydanego przez Bachmatowicza albumu „drobnych rysunków" Rustena na której widzimy jakichś, niewiadomego pochodzenia wieśniaków oraz trzymającego pochodnię amorka... W tejże sali, w dziale **„Nowogródczyzna. Lata dziecięce"**, widzimy prawdzime curiosum: obok podobizny starszego grata poety Franciszka, umieszczono świadectwo cechu szewców wileńskich wystawione w r. 1824 niejakiemu Franciszkowi Mickiewiczowi. Ów szewc wileński dobrze jest znany mickiewiczologom, jako nie mający nic wspólnego z jednoimiennym bratem poety. Umieszczenie jednak świadectwa obok podobizny tego ostatniego stanowi dla niewtajemniczonego widza pułapkę niepotrzebnie wprowadzającą go w błąd. Wpadło już do niej m. i. dwóch recezentów. „Cech szewcki... zaświadcza o tym, że będący u nas maystrem Franciszek Mickiewicz" — cytuje jeden z nich i dodaje: „No, proszę kto o tym słyszał, że brat Mickiewicza był w Wilnie szewcem?"*) Podobną uwagą dzieli się z czytelnikami i recenzent „Życia Warszawy"**). Ale co gorsza, okazuje się, iż organizatorzy wystawy wiedzą, iż są to dwaj różni zupełnie Mickiewicze, nie uważają jednak za potrzebne poinformować o tym widza, przez umieszczenie odpowiedniego napisu.

Źle również, iż posługując się materiałem ilustracyjnym z różnych dawnych wydawnictw jako to: z „Albumu widoków i t.d. „Borettiego, z „Kłosów", z „Tygodnika Ilustrowanego" itp., nie odniesiono się dość krytycznie do figurujących na nich napisów. Stąd, podpis:, „Zamek w Nowogródku" pod widokiem szczątków r u i n tego zamku. A ponieważ obok nich widać dobrze stosunkowo zachowaną farę, więc widz dopatruje się w niej owego „zamku". Tuż obok, pod wizerunkiem tejże fary, mamy podpis: „Kościół pobazyliański, dawna świątynia Perkuna". Informacja całkowicie bałamutna, bo to właśnie kościół farny zbudowano, według miejscowej legendy, w miejscu dawnej pogańskiej świątyni, kościół zaś pobazyliański to późniejsza cerkiew prawosławna. Miejscowości Litewki" jak głosi następny podpis, pod Nowogródkiem nie ma. Jest tylko „Litówka". Inny napis mówi, że Zaosie należało przedtem do „brata Mikołaja" (tzn. — ojca poety) podczas gdy Mikołaj Mickiewicz braci nie miał, a Zaosie było własnością jego stryja, Józefa. Umieszczenie tu podobizny „cudownego obrazu M. Boskiej nowogródzkiej" sugeruje widzowi iż o nim to właśnie jest mowa we wstępie do „Pana Tadeusza". Tymczasem, według wszelkiego prawdopodobieństwa, chodzi tam nie o Nowogródek lecz o Stołowicze. Tyle błędnych informacji znajduje widz w jednej małej salce! A tak łatwo przecie było ich uniknąć.

Bardzo ciekawym obiektem z Muzeum Narodowego w Krakowie jest wykonany piórkiem przez Ignacego Domejkę widok domku Mickiewiczów w Nowogródku, w pierwotnym, przedpożarowym jego stanie. Nic natomiast nie daje sąsiedni wizerunek jakiejś nowoczesnej (przed 50 laty, oczywiście!) chaty, stojącej na tle lasu i podpisanej „Kołdyczewo". Po co ją fotografował Boretti, i po co ją tu wystawiono — nie wiadomo. Widz chciałby zobaczyć tej nazwy jezioro, znane mu z „Tukaja", i tak łatwo można mu było je pokazać, wziąwszy z poświęconego Nowogródczyźnie w 1925 r. zeszytu „Ziemi" lub z „Przewodnika" Żmigrodzkiego.

W następnej sali — **„Wilno - Uniwersytet 1819"**, widzimy m. i. dwie ciekawie pomyślane gabloty: **„Czasopisma współczesne"** i **„Lektura młodego Mickiewicza"**. Ale i tu, w ostatniej z nich, umieszczono jedynie dawne, za czasów Chmielowskiego jeszcze znane pozycje, nie uwzględniając nowszych danych, zawartych chociażby w opublikowanych swego czasu przez niżej podpisanego, na łamach „Kurjera Warszawskiego", wspomnieniach Aleksandra Mickiewicza (m. i. powinny by tu dojść: „Inkasowie" Marmontela „Oblężenie Jerozolimy" itd.). Na tablicy: **„Profesorowie Uniwersytetu Wileńskiego"**, figuruje podobizna obserwatorium astronomicznego, wizerunku zaś samego Poczobuta - Odlanickiego — nie ma. Podobnież na tablicy: **„Przyjaciele poety"**, znajdujemy dyplom uniwersytecki Mickiewicza... Nie szkodziłoby również objaśnić, że

(Ciąg dalszy na stronie siódmej)

ALEKSANDER WAT

„OTO JEST MIASTO ŚPIEWNE"

1

Jak dobierać słów, kiedy w gardle cieniutko brzęczy wzruszenie. Nieudolny to doradca ludzkiej mowy. „To jeden z najpiękniejszych dni mojego życia", mówi ktoś nieznajomy, patrząc mi w oczy z prostodusznym zdziwieniem. Na nic innego nas nie stać. Ale są już słowa, w których ruch uczuć przegląda się, jak w czystym zwierciadle wód: „Cóż jest przyczyną, że piersi nasze rozpiera poczucie radosnej dumy? Przyczyną tych uczuć są wielkie czyny twórcze, które składa dzisiaj w darze Rzeczypospolitej lud pracujący... Patrzymy w tej chwili stu tysiącami oczu na jeden z takich cudów, cudów rzeczywistych, a nie urojonych, cudów, które przetrwają wieki. Jakże naprawdę przecudnie piękne i godne podziwu jest to dzieło, które widzimy wokół siebie" [1]).

Jak naprawdę piękne i godne podziwu jest dzieło, które widzimy wokoło siebie! — powtarzam tylko wargami, i kiedy już najwewnętrzniej przytwierdzam tym słowom, wszystkiemu wokoło, wstrząs jest nazbyt silny, odwołuje się do innego wstrząsu niemniej silnego, i w jednym mgnieniu ugasa mi w oczach miękkie światło zachmurzonego warszawskiego dnia, które opływa teraz całe to zbiorowisko zorkiestrowanej przestrzeni, kamiennych profilów, tłumów, rzuconych kępami, tam i sam, to przepływających, to zatrzymanych w miejscu, sztandarów i stoków trawiastych, radości, której ciasno tu, chociaż tak tu przestronnie — oddala się, ugasa i gaśnie naiwny krajobraz miasta, wywołanego różdżką czarodziejską, przebrzmiewa głos, i na ułamek sekundy jest inny czas i inne miejsce: Pierwszy dzień mojego powrotu, po tylu latach, szukam dawnych miejsc i dróg, których już nie ma, po których tylko smuga została we mnie, jak smuga po okręcie, którego nie widać, ale smuga trwa, zginie dopiero ze mną, z nami, drogę porasta trawa, zielska, chwasty, ledwo udeptana śród rumowisk, w górze samotna kolumienka wisi niemal bez oparcia, raziła kiedyś nasze oczy jej secesyjna banalność, teraz skupia w sobie powagę i wdowie piękno antycznych ruin. Tam, gdzie była Mazowiecka, bosonogi chłopiec przegania kozy, osowiały kozioł zapuścił się między gruzy, ogród tu był kawiarniany, w którym strawiło się tyle godzin i tyle lat gorzkiej młodości, kozioł nie daje się odpędzić, chociaż jego nie trzyma tu słodki szpik wspomnień, i motyl z białymi skrzydłami polata śród traw i porostów. „Kto szuka motyli pod Łukiem Tytusa!" wołałem wtedy za odą Gardneccigo, nagle pełen gniewu, wzburzony tym motylim lotem trzepocącym śród ruin.

I tutaj również jest trawa, uderzająco zielona, soczysta i młoda, jak na poranek świata, i tutaj lata biały motyl, śledzę za spłoszonym ściegiem jego polotów, dostał się między nas nieopatrznie, chociaż bardzo na miejscu, tyle tu jest miodu, przynajmniej dla naszych ludzkich serc. Tamte bowiem cienie z „cita dolente" zgasły nagle, jak były powstały, i wraz z miękkim światłem przejaśniającego się dnia i naiwną wizją miasta, wyczarowanego ludzką pracą wraca radość.

2

„Dzieło to stworzyła myśl i czyn, twórczy polskiego ludu pracującego... natchnienie twórcze artysty i ścisły matematyczny rachunek... Jest wyrazem wielkiej głębokiej idei, która budziła ofiarność i zapał w setkach i tysiącach serc ludzi pracujących na Trasie W — Z" [2]).

Oto oni, budowniczowie tej pięknej trasy! Idą w pochodzie, betoniarze, architekci, murarze, przodownicy Betonstalu i Mostostalu, brukarze, spawacze, inżynierowie, monterzy, dekarze, cała budowlana Warszawa, delegacje hutników i górników, chłopów, mężczyźni i kobiety, starcy i młodzież, z transparentami, ze sztandarami, wykresami, „ci, którzy przekształcają Polskę z kraju, wierzącego w cud i czekającego na cuda, na kraj, dokonywujący cudów" (M. Spychalski) — bite dwie godziny trwa ich pochód. Tyle już widziałem pochodów, wzniosłych i nikczemnych, ale żaden nie był do tego podobny. Wszystko tu w istocie jest bez precedensu, nie daje się utożsamić. Nic tu, oczywista, z defilady umundurowanych kohort, śpiewających w tej czy innej mowie: „Und willst du nicht mein Bruder sein, so schlag, ich dir dein Schädel ein"; ani to kiplingowskie „buty buty buty, buty"; nic z procesyj czerwonogębych wąsatych majstrów; nie jest to też ludek świąteczny, uwielokrotniony w tysiącach egzemplarzy. Drobnomieszczanin „endimanché". Ale nie jest to też podobne do dawnych manifestacyj pierwszomajowych, zwartych w gniewną pięść śród wrogiego miasta. Żadnej tu nie ma oficjalności, nic z urzędu, nic z góry.

Prezydent na trybunie, to ten, który ma prawo chodzić tu z nimi ręka w rękę, w pierwszym ich szeregu, który niewiele dni temu roztoczył wizję Warszawy 1955 roku, tak olśniewającą, że zapiera dech w piersi, i tak na odległość wyciągniętej ręki realną, tak przedterminowo realną, jak ten tutaj lekki i zgrabny, lekkoatletycznie zgrabny most, jak świecący wesoły tunel, jak te drogi, wiadukty, jak te odbudowane kamieniczki na górze, zabytki pięknej dawności, jak to miasteczko Marienszatat, różowiejące i żółciejące śród świeżej zieleni, pod wzgórzem św. Anny, z romantyczną czerwienią swoich dachówek.

Co najbardziej uderza w tym pochodzie, to jego cywilność, osobność każdego z uczestników. Czytało się w latach międzywojennych „Bunt mas" Ortega y Gasset, straszono w tych czasach „wtargnięciem barbarii wzdłuż pionu" t.zn. z nizin społecznych, nie z zewnątrz (Walter Rathenau), gregaryzmem współczesnej epoki, bezosobową standaryzowaną „masą", która łamie stare wypróbowane wiązania elitarnej kultury i społeczności. „Nie ma już bohaterów, pozostały tylko chóry", biadał Ortega y Gasset, nota bene dziś na nowo odkrywany w U S A. „Masą jest każdy, kto nie przypisuje sobie ze szczególnych względów — w dobrym c z y w z ł y m — szczególnej jakiejś wartości i kogo nie ogarnia groza, lecz kto na odwrót czuje się dobrze w swojej skórze, gdy stwierdza, że jest taki sam jak wszyscy". Jeszcze niedawno filozof katolickiego personalizmu Emanuel Mounier wzdrygał się: „Społeczność bez oblicza złożona z ludzi bez oblicza... bez charakteru... Zbiorowiska ludzkie, co pewien czas wstrząsane gwałtowną ruchawką, ale bez zróżnicowanej odpowiedzialności" [3]).

W obliczu tego pochodu, w obliczu tej „masy" manifestującej dzieło swych rąk — co słowo, to kłamstwo.

Nawet idą oto teraz każdy swoim własnym krokiem, samopas, na własny niejako rachunek, choćby i młodzież, tak zawsze skłonna do musztry i ordynku. Wyobrażam sobie pasję księcia Konstantego, gdyby go tu przenieść z Placu Saskiego i o stulecie, albo uśmieszki naszych własnych sołdatów z niedawnej przeszłości na ten pochód „cywilbandy".

Tutaj nawet marszałek — dostojny gość na trybunie — to dawny warszawski murarz. Wspólny jest tylko pośpiech, gna ich tempo własnego wzruszenia, bodziec zapału, własnej niecierpliwości, wdrożeni są widać w ten rytm przyśpieszenia, kiedy to robota pali się w ręku i szkoda każdej chwili, która odpływa. Śpieszą się nawet młodzi ojcowie, co zamiast transparentu czy sztandaru tu i ówdzie dźwigają na ramieniu swoje małe, śliczne córeczki z różowymi i błękitnymi kokardami we włosach, wyniesione nad głowami tłumu, ozdobne, niezmiennie poważne infantki tego olbrzymiego radosnego dziedzictwa — dźwigają tak ci ojcowie swój dobry ciężar aż z Mostu Poniatowskiego, ale nie znać po nich zmęczenia, tylko radosne rozgorączkowanie. Oko nawykłe do porównań i konwencjonalności, szuka analogii, podobieństw. „Mam go" wykrzykuję, „mądra twarz tego zwalistego starucha, choć tak bardzo stara, nie dająca się starości — to z jakiegoś portretu Tintoretta". Niedorzeczność, pozór! Wszystko tu jest dopiero do odkrycia! Fizjonomie bez retuszu, rysy nie od pary, za kuse albo za duże, — na wyrost, czoła cofnięte albo wypukłe, twarze od ziemi, od pracy, z walki i trosk, pokreskowane w wielorakich zmarszczkach i bruzdach, twarze — charaktery, bez szlifu i oglądy fizjonomiki „oświeconych", bez tej opływowości, po jakiej dłuto się ślizga i oko, twarze darte, gniecione, rozciągane, zebrane lub rozluźnione — a każdą ożywia i opromienia zapał i radosna godność — najpiękniejsze uczucia ludzkiej twarzy. Doprawdy, wszystko tu jest do odkrycia — nowe kanony i kodeksy sztuki portretowej, tylko trzeba te twarze chwytać nie kiedy sztywnieją do pozowania, może nawet nie przy pracy, ale właśnie tak jak tutaj, kiedy uszlachetnia je duma świętującego twórcy, który patrzy na dzieło swoich rąk „i widzi: że jest dobre".

(Niech mi malarze darują — przybył im jeszcze jeden niepowołany radca).

Oczy nasze, widzów, chciwe i niesyte, chciałyby każdą twarz rozpoznać, utrwalić, cóż, kiedy nie znasz tu dosłownie nikogo, nikogo nie możesz zawołać po imieniu, jesteś tylko kibicem, gapiem, konsumentem.

Ktoś tu mimochodem spotkany, od bardzo dawna znajomy i nie widziany, przypomina mi pierwsze wystąpienie przed robotniczym audytorium, dwadzieścia dwa lata temu, i z kilku słów wysnuwa się ciąg wspomnień. Onieśmielenie, które odczuwam wobec idących wciąż w pochodzie murarzy, kamieniarzy, hutników, odznaczonych bohaterów pracy społecznej i spełnionej — odnajduję zupełnie takie same w tamtych odległych czasach, kiedy stałem przed takimi jak tu ludźmi pracy, mając do nich przemówić, kiedy byli w ucisku i kiedy byłem z nimi razem w walce. Onieśmielenie — w niczym niepodobne do zwykłej tremy mówcy przed wytrawioną publicznością. Ożyły stare źródła wzruszeń, które nieraz zanosiło piaskiem, od których nieraz się odchodziło.

Słońce wygląda na chwilę i znowu się skrywa. Dobrze się stało, że niebo jest dzisiaj w chmurach (do twarzy Warszawie z zachmurzonym niebem) — nic tu nie jesteśmy dłużni magii błękitu!

Ponad i za trybuną sterczy ogromny okruch ruin, z wyglądu monstrualna szubienica. Tylko na samym jej szczycie kołysze się na wietrze wąska futryna, niby wołanie więźnia o ratunek, a na dole oblepia ją dobre mrowie ludzkie. Dobrze, że stoi tu ten symbol losu, jaki gotowano przeciągającym na dole tłumom budowniczych Warszawy. Już nam nie jest straszny, na odwrót sam wydaje się w strachu, bezsilny, wyskok żelaznego wieku, monstrum zabłąkane z chaosu nienawiści w świat dobrej pokojowej pracy. Pozostawiłbym go tu i utrwalił na zawsze w tym kształcie, aby świadczył czasom i pokoleniom, jak wygląda los kreowany przez ślepe nienawistne człowiekowi siły. Niech tu stoi naprzeciw tego miasteczka, wyrosłego w ciągu 22 miesięcy, już zamieszkałego przez swoich twórców, z płacykiem, wypieszczonym w zabawnych i miłych dla oka drobiazgach i detalach. Miasteczko, w którym jest tyle dla wyobraźni, może dziecięcej, ale wyobraźnia jest koniec końców sprawą dzieci, po którym błąkając się dobrze jest śpiewać sobie wiersze młodziutkiego Ważyka:

Oto jest miasto śpiewne. Pogodne
jest jak dal.
Nad rankiem słodkie głosy intonują
psalm.
W południe pachną w fajkach
dymiące korzonki.
Zmierzchem puszczają dzieci
roztańczone bąki.
Serdeczni zegarmistrze hodują
godziny
I ręce błogosławiąc na czołach im
kładą.
A Hiacynt oczy ma czerwone jak
rubiny
I twarz ma bladą...

Wracamy przez tunel, wesoły, lśniący białą glazurą, w dobrotliwej pieczarze z gotycką wieżą daleko u wylotu, dogania nas rumor, otacza nas ze wszystkich stron, niezmiernie przyjazny, swojski, to ciepłe głosy życia, które zdaje się brać nas w braterski uścisk. Wszyscy jesteśmy oszołomieni i poważni, uczestnicy misterium, jak naturalna i bezpośrednia jest miłość do swego miasta! Dobrze jest w tym jasnym podziemiu idąc ku jasnemu wylotowi wielbić w gromadzie radość z Odzyskanego Miasta, Naszego Miasta, które umarło i zmartwychwstało.

3

Za tunelem jakie urozmaicenie i piękność krajobrazu! Płyniemy z ludzką falą, z każdego miejsca roztacza się inny widok. Zapatrzyliśmy się na te zielone zbocza, gaiki, miedziane dachy i czerwone dachówki, na te piękne mury, na których farba jeszcze nieobeschła wzrusza nas wilgotną świeżością, na finezyjne profile pałaców, szlachetne elewacje, wzniesione na miejscu, gdzie wczoraj jeszcze czerniały ruiny, na masyw zabytków, wyłuskanych z ciasnej wielowarstwowej łupiny czynszówek, w jakiej zachowała je nasza oszukiwana pamięć, wiele tu stoi ruin i rusztowań, ale nie przeszkadzają nam, niecierpliwe oczy, zachęcone czarodziejskim biegiem dokonań, wybiegają w przyszłość i widzą już jutrzejszy ich kształt, przeskakują bez wysiłku, uskrzydlone, ruinę — zawalidrogę, zasłaniającą pałac Radziwiłłów, starajmy się tylko oślepnąć na obskurną plazdrę Hipoteki. Patrzymy na to miasto w szkicu, w stawaniu się, z niemniejszym zapewne podziwem, niż kiedyś patrzał Marco Polo na miasta w zlocie, w hebanie i kości słoniowej wysp Zipangu. Taka jest moc uroczna nowoodkrytego świata, tutaj tym bardziej uroczna, że świat ten jest naszym światem, swój, odnajdujemy w nim dawne drogie rysy, jak syn mamotrawny po latach odczytuje rysy matczynej twarzy — tu przecież proces czasu został odwrócony: co było stare, jest cudownie odmłodzone!

Znowu jesteśmy na górze, zaszliśmy wdzięcznym łukiem w prawo, jesteśmy na wprost szerokiego przeskoku między krawężnikiem kamieniczki Johna na tyłach Krakowskiego a ceglastą ruiną, na której szczycie czernieją konwulsyjne figury, jak gdyby poniewczasie jeszcze ogarnięte paniką, usiłowały rozbiec się z wygaszonego już domu. I oto jesteśmy na wprost kolumny królewskiej, która na opalizującym niebie rysuje się niezwykle wyraźnie ze swym pochylonym królem i krzyżem... Jak trafny jest szyk wyrazów w prostym wierszu „Jest taka kolumna w Warszawie": ta kolumna w istocie swojej przede wszystkim „j e s t". Nie jestem krótkowidzem, ale muszę posłużyć się lornetką, aby stwierdzić, że to, co biorę za morze burzące się o cypel królewskiego cokołu, to nie mgiełka dalekiego praskiego brzegu, lecz zwykła chmura (do twarzy Warszawie w chmurach...) Starajmy się tu zatrzymać, chociaż to niełatwo w niepowstrzymanym potoku.

Co za wspaniała rzeźba przestrzeni, laikowi w tych sprawach, wydaje mi się, że osiągnięto tu jedność rzeźby i muzyki (muzyka — architektura w czasie), ukształtowanie przestrzeni wydaje się muzyczne, wydaje mi się, że potrafię odróżnić w tym rozległym pejzażu partie skrzypcowe: to rząd menuetowych kamieniczek na tyłach Krakowskiego Przedmieścia; — partię fletową: to kolumna Zygmunta; tam znów bębny i waltornie Kapucynów, pałacu Paca, a daleko w górze, za kulisami, jeszcze milczący akompaniament fortepianowy: to rząd dostojnych domów Corazziego, w rusztowaniach, zaledwie w szkicu, ale już klasycyzująco piękny. (Jest wielokrotnie zresztą opisane piękno przedmiotów sztuki w ich stawaniu się, w zarysie, kiedy wystarczy zamknąć oczy, aby widzieć ich kształt ostateczny, ale wszystko jest jeszcze podatne, w zamianach; szkic malarski mistrza, kiedy obrysy postaci są już określone a jeszcze oscylują, kiedy nałożona już farba, której przeznaczono dominować; że wszystkich cudów Rubensa w monachijskiej Pinakotece — przypominam sobie — najbardziej „chwycił" mnie mały obrazek „Wychowanie księżniczki" z trzema gracjami, gdzie wszystko dotąd drga, dotąd niezupełnie ustalone na swoich miejscach, jeszcze chętne do przepostaciowania).

Wszystko to razem dzisiaj jest na pewno symfonią pastoralną. Nie dla soczystej trawy, ani dla kępki, tu i ówdzie, młodych lip — to rzeka, potoki, strumienie i strumyki ludzkie, rozlewające się wszystkimi drogami, nadają wygląd półwiejski, nieomal bukoliczny.

Naiwny to krajobraz — naiwność, matka wybornych rzeczy w sztuce, — jak tło obrazu Filipino Lippi, gdzie miasto jest naturalnie wkomponowane w pejzaż. Rozpostarła się szeroko tu przestrzeń, ni to ogromny amfiteatr, ni to naturalna kotlina, spadająca ku tunelowi i, dalej, aż ku Wiśle, która jest piastunką, i antagonistą, tej wielkiej urbanistycznej arterii.

Trzeba to oglądać w taki właśnie dzień, jak dzisiejszy, kiedy świąteczny tłum zapełnia kotlinę na wszystkich jej drogach i piętrach. Julian Przyboś opisał kiedyś przejmujące piękno wielokierunkowego ruchu samochodów na paryskim Placu Zgody. Koniec końców jest to piękno abstrakcyjne, piękno odczłowieczonej mechaniki na plycie niezapomnianego zresztą, w światłach dnia czy w nocnym oświetleniu, paryskiego placu. Szkoda, że go tu nie ma teraz z nami, aby równie precyzyjnie opisał ten nasz wielokierunkowy ruch ludzkich mas, w urozmaiconej, nowocześnie-urbanistycznej, przy tym historycznie-zabytkowej przestrzeni. Płyną zatem potoki, strumienie, strumyki ludu, w obu kierunkach naraz, na wszystkich kondygnacjach, chodnikami, serpentynami, ścieżkami, obok siebie, naprzeciw siebie, ku sobie i od siebie, dwie przeciwstawne fale. Gdzieniegdzie, dalej, zatrzymani, tłoczą się głowa przy głowi, jak na obrazach prymitywów, oko się rozbiega, to-ci panorama, fantastyczny widok, nie możemy go utrwalić, bo sami jesteśmy w fali, falą, już nas niesie dalej. Poniżej nas, bardziej z bliska, wyglądają jakby nieruchomo stojąc na trawie spływali w dół. Strzela mi do głowy, że znalazłem klucz do tej zagadkowej architektury: po prostu przylgnęła ona ściśle do naturalnego terenu, do wielorakich konfiguracyj tej naturalnej kotliny, a wszystkie jej piętra schody drogi i ścieżki położone zostały dokładniej w tych miejscach, jakie wyżłobiłaby rzeka nurt potoki strumienie i strumyki wód, gdyby spłynęły w ogromne zlewisko na dole. Jakaż to piękna umiejętność — urbanistyka.

4

Architektura — co za piękna umiejętność! — mówię do przyjaciela. — Wszystko tu jest trwałe, bezpośrednio sprawdzalne i użyteczne, można dotknąć, beton jest beton, marmur to marmur, nie zawodzi, nie to co surowiec literatów — zawsze dwuznaczny, zawsze niepewny, zanadto podatny i śliski. Rygory narzuca sam materiał, prawa bezwarunkowe, formuła celowości — nikt nie ustawi piramidy podstawą do góry, — w pisarstwie wszystko jest możliwe i dozwolone: od „Anny Kareniny" do „Anna Livia Plurabella" — a w tym możliwym i dozwolonym wszystko jest niepewne... Postanawiam sobie namawiać syna na architekturę.

Co prawda, przypominam sobie, jeszcze niedawno baliśmy się panów architektów, kiedy obiecali odbudować Warszawę piękniejszą niż była. Wyobrażaliśmy sobie, że jeżeli w ogóle coś odbudują (te dowcipy: „BOS — Boże, Odbuduj — Stolicę"!) — to koszmar funkcjonalizmu, starej „nowej rzeczywistości", „stylu epoki" — oschłe abstrakcje wyobraźni technokratycznej. Baliśmy się zmory prostopadłościanów: prostopadłościan na prostopadłościanie obok prostopadłościanu — monotonne miasta, w których wypadnie żyć i róść pokoleniom żywych ludzi, a nie robotów. Pamiętamy to dobrze z lat międzywojennych: „architektura, urbanistyka to nauka ścisła, nie sztuka... forma architektoniczna determinowana jedynie przez techniczny rachunek, wypadkowa funkcji użytkowej... żadnej dekoracyjności... funkcja × oszczędność — i nic więcej"... Chłonęliśmy wtedy z zapałem odczłowieczone widma funkcjonalne w „Das neue Frankfurt", w amsterdamskim „Ma", mieliśmy ich już zresztą sami niemało, wytwory naszych rodzimych Gropiusów, Corbusierów, Doesburgów, kubek w kubek podobne do tamtych — straszą nas dotąd gdzieniegdzie w dzisiejszej Warszawie niby olbrzymie bryły do demonstrowania zadań geometrycznych. Mówię o tym zuchwale, bo jestem zupełnym w tych sprawach laikiem, nie mam więc tu nic do stracenia, nawet reputacji. Bądźmy jednak sprawiedliwi: odegrały one przejściowo zbawienną rolę, obrzydziły zatęchłą ciasnotę i półmrok drobnomieszczańskich mieszkań i „apartamentów" i wpuściły w nasze „wnętrza" więcej światła, powietrza, higieny.

„Wyobraźmy sobie" — mówiłem do architekta T. ..., „że to wszystko działo się u nas w początkach stulecia — wtedy nasi urbaniści odbudowaliby nam Warszawę całą secesyjną. Duch czasu... niewątpliwie! Gdy starzeje się i staje się nieznośny styl książki, gdy okazała się wytworem wyłącznie swego czasu, rzucamy ją do kosza, stare szlagiery przestajemy śpiewać, ale w architekturze trzeba żyć i żyć pokoleniom, wielu pokoleniom, których duch czasu i smak zmienił się tymczasem na opak. Każdorazowy „styl epoki" to szulerskie ry-

(Dokończenie na stronie szóstej)

[1]) Z przemówienia Prezydenta RP na otwarciu Trasy W — Z.
[2]) Z przemówienia Prezydenta RP.
[3]) „Manifeste au service du personalisme" — cytat wg. W. Röpke „La crise de nôtre temps", str. 25.

JERZY FICOWSKI

OCALENIE

I.

Już kipią mlecze, łopuch i powój się wdziera
na stosy martwych cegieł, by je z ziemią zgodzić.
Na mądrym murze słoneczny zegar
umarł, choć słońce krąży, tylko nie ma domów,
ani dachów, ani ludzi. Nie ma godzin.
Wokół cyfr rzymskich bezradne litery:
„Tempus fugit, aeterni...", ale strzałki nie ma —
smuga cienia poległa na tarczy.
Jeden listek bzowiny — judaszyk zielony —
zasłania dziurę w murze, który kiedyś walczył.
I zieleń goi rany i w proch je zamienia
razem z freskiem i cegłą, co jeszcze jest żywa
i wzrasta w rude skały wyniosłe, a na nie
wspinają się pokrzywy i malutkie krzyże
(a ten urodzaj krzyży, to znaczy powstanie).
Już z nich blade napisy czysto deszcz pozmywał.
Niska kamienna nisza sklepiona błękitem,
dokąd wąziutkim przejściem chłopcy nie dobiegli,
cała w krzewach. Zostały gołębie i cegły.
Astmatyczny dech skrzydeł ustaje stulony
w gaworzenie dziecięce wśród gzymsów ukryte,
nim gołębie na Piwną odlecą — do siebie,
gdzie od progu izdebki, niby z okna grobu
rozsiewa starowinka gwiazdowe jagody:
żółte kuleczki grochu. Jak chmurki na niebie
na uliczce gołębie dawne, staromiejskie
gaszą złoto grochowe. Na szyjach im wschodzą
z szarych piórek połyski różowe, niebieskie,
gołębie tęcze ciepłe — zwiastunki pogody.

II

Na Kamiennych Schodkach
były schodki kamienne.
Schodzili chłopcy na ryby,
wchodziły dziewczyny pod gwiazdy.
Gdy gwiazda spadła raz tutaj —
dzwoniła ze stopnia na stopień
jak złoty talar rzucony
z sakiewki jaśniepańskiej.
Kiedy z kościołów Starówki
szedł przypływ muzyki dzwonów —
tu było jego łożysko
i wodospady chórów.
Otwierał wąskie okienka
jako się serca otwiera.

Czerwone piargi rumowisk.
Gdzie schodki? Czerwone piargi.
Czerwone tablice kwitną
u wnijścia na dźwierzach samotnych.
Co znaczyć mogą imiona
ulic tu pogrzebanych?
Wąski Dunaj rozlał szeroko,
gruzem płynie, w nim liście żagli
nad dunajem, ruczajem szerokim.
Tu Rybaki nie łowią już cieni,
tu Mostowa wymoszczona gruzem.
O, imiona niby pieśni bardów,
porzucone imiona przeszłości —
Krzywe Koło, Kanonie. Nie pytaj,
gdzie leżały. To tak, jakbyś nagle
oślepł, dłońmi dotykając matki
i nie poznał jej, wołając imię.

IV

Pochylają się z brązu,
wznoszą się, pochylają,
w szafliku rozrabiają
ciasto wapienne i gęste.
Podobnie matka przed wojną
placki miesiła na Piwnej.
Jan murarz wysoko w górze
trzyma się wiatru i kładzie
cegłę — na cegle — cegłę —
i wznosi dom. Kielnie dzwonią
na podniesienie. Obłoki
niosą się ponad dachy
na przedwojenne miejsce.
Ze śpiewem szaflik zaprawy
wzlatuje na grzędę rusztowań.
Ściana urasta jak płomień.
Na bruku rynku się kładą
prastare cienie wieczorem,
podłużne od piwnic do attyk,
niepogrzebane, powrotne.
Więc ujarzmiają szkło w ramy,
aby szybami dom przejrzał,
— nie aby prysło od huku —
szkło dobre, co nie kaleczy.
Będą się kąpać obłoki
w czerwonej fali dachówek,
kiedy murarze umyją
ręce i zetrą z czoła
słońce i pot — i spojrzą.
— Rodzony dom — tak pomyślą.
— Będzie stać mocno — powiedzą
i zamieszkają pod dachem,
a ponad nimi gołębie.
W tym domu trudnym, rodzonym
i mocnym. Na nowej Starówce.

NATALIA MODZELEWSKA

MIKOŁAJ LESKOW

(1831 – 1895)

Imię Mikołaja Leskowa, jednego z najwybitniejszych pisarzy rosyjskich w drugiej połowy XIX wieku, jest dotychczas w Polsce prawie nieznane. Nieliczni tylko czytali jego utwory w oryginale, dobrych zaś przekładów na język polski, poza wspaniałym tłumaczeniem Tuwima „O stalowej pchle“ nie było na rynku księgarskim. Ta luka jest tym bardziej uderzająca, że twórczość Leskowa daje niezwykle bogaty, wielostronny i barwny obraz życia Rosji XIX wieku

Leskow, obok Gogola, Turgieniewa, Dostojewskiego i Tołstoja jest jednym z twórców wielkiej literatury rosyjskiej swojego okresu. Gorki pisał, że ten „czarodziej słowa“ jeśli idzie o siłę talentu nieznacznie tylko ustępował swoim słynnym poprzednikom i współczesnym, natomiast „często przewyższał ich, szerzej ogarniając zjawiska życia, głębiej rozumiejąc jego zagadki obyczajowe, subtelniej wyczuwając język wielkorosyjski“.

Uznanie dla pisarskich zasług Leskowa przyszło późno, bo prawie pod koniec jego życia, prawdziwą zaś popularność zyskała jego twórczość dopiero po Rewolucji Październikowej. Odtąd zaczęto wydawać w dużych nakładach jego dzieła, zbiory nowel i opowiadań. Ukazały się monografie poświęcone analizie jego twórczości. Z mistrza cenionego przez elitę literacką, przez znawców słowa artystycznego, Leskow stał się autorem masowym. Opowiadania „O stalowej pchle“, „Za czarowany wędrowiec“, „Cyrulik-artysta“ i „Powiatowa lady Macbeth“ nawet podczas ostatniej wojny ukazywały się w wielotysięcznych nakładach.

Fakt ten jest tym bardziej ciekawy i znamienny, że Leskow wszedł do historii literatury rosyjskiej z piętnem pisarza reakcyjnego. Istotnie przez dłuższy okres swej twórczości usiłował walczyć piórem z postępowymi prądami rosyjskimi lat sześćdziesiątych. Ale, jak to zdarzyło się niejednemu wielkiemu realiście, tendencyjno-reakcyjne elementy jego sztuki utraciły z biegiem czasu znaczenie, natomiast głęboko ujęta w jego utworach prawda życiowa nabrała siły plastycznego wyrazu i przemówiła obiektywnie, wbrew zamierzeniom autora. Dlatego też nowi czytelnicy Leskowa widzą w nim przede wszystkim pisarza, który „na wylot“ znał swój kraj, kochał go iście synowską miłością, ubolewał nad jego cierpieniami, nad niedolą ludu, nad korrupcją i okrucieństwem możnych, jednocześnie zaś umiał odsłonić duchowe piękno i skromne bohaterstwo prostego człowieka.

Trudno w krótkim artykule zaznajomić czytelnika z pełną biografią Leskowa; ograniczymy się więc do podania garści faktów zasadniczych, związanych z ukształtowaniem jego światopoglądu i indywidualności pisarskiej.

Leskow urodził się 16 lutego 1831 r. w środowisku urzędniczo-drobnoszlacheckim. Dziecinne lata spędził na wsi, gdzie zapoznał się blisko z życiem ludu.

Leskow nie posiadał wykształcenia systematycznego. Podobnie jak Gorki, był genialnym samoukiem. Ukończył zaledwie trzy klasy gimnazjalne, później zaś jako wolny słuchacz dorywczo uczęszczał na Uniwersytet Kijowski. Swoją gruntowną wiedzę w zakresie ekonomii, historii, krajoznawstwa, folkloru, literatury, sztuki i filozofii zdobył własnym wysiłkiem, przez podróże, obserwację i lekturę. Na pytanie, skąd zaczerpnął olbrzymie wiadomości o własnym kraju, odpowiadał zazwyczaj, stukając się w czoło: — Wszystko z tej skrzyni... W okresie moich podróży po Rosji nazbierało się w niej tyle bagażu, że starczy na całe życie; tego nie znajduje się ani na Newskim Prospekcie, ani w petersburskich kancelariach...

Trzeba zaznaczyć, że Leskow nie należał do pisarzy wcześnie debiutujących. Powołanie literackie odczuł i uświadomił sobie wyraźnie dopiero po trzydziestce, wypróbowawszy uprzednio różnych zawodów. Zawsze jednak miał oko, słuch i wyobraźnię artysty — wrażliwy na urok przyrody, ciekawy ludzi i ich spraw, spostrzegał tragizm lub groteskę tam, gdzie inni nie widzieli nic oprócz powszednich wydarzeń życia.

Nie jest chyba przypadkiem, że zarobkowa praca Leskowa zawsze była związana z rozjazdami. Pracował w Sądzie Kryminalnym, w Komisji poborowej, w dużym towarzystwie handlowym. Zwiedził bodajże większą część Rosji, zaglądając do najbardziej zapadłych miasteczek i wsi. Dostarczyło mu to doskonałego materiału do utworów obyczajowych, w których opisywał świat przestępczy, środowiska kupieckie, drobnomieszczańskie, urzędnicze i inne.

Działalność literacką rozpoczął w roku 1860, wysyłając z prowincji korespondencję do gazet i pism stołecznych, które jakkolwiek nie były jeszcze utworami artystycznymi, zapowiadały już cechy przyszłego pisarza: dobrą znajomość realiów, spostrzegawczość i wyczucie języka.

Była to epoka wielkiego napięcia sił rewolucyjnych w Rosji. Kraj przeżywał okres przejścia od feudalizmu do kapitalizmu. Nieudała wojna Krymska ujawniła zgniliznę i słabość opartego na pańszczyźnie ustroju. Szerzyła sie fala buntów chłopskich, siejąc przerażenie wśród szlachty, magnaterii i rządu. Coraz bardziej uwidoczniała się ekonomiczna absurdalność pańszczyzny, hamującej rozwój elementów kapitalistycznych w kraju. Konieczność zniesienia pańszczyzny i wprowadzenia pewnych reform społecznych stawała się jasna dla wszystkich.

Rząd Aleksandra II, pod naciskiem groźnej sytuacji rewolucyjnej, zmuszony był złagodzić reżim mikołajowski i rozluźnić nieco rygory policyjne i cenzuralne. Korzystała z tego prasa demokratyczna, ażeby ukazywać we właściwym świetle położenie kraju i nawoływać społeczeństwo do walki z despotyzmem i obskurantyzmem. Na czele pisarzy postępowych stał Czernyszewski w kraju („Sowriemiennik“) i Hercen z Ogarewem na emigracji, w Londynie („Kołokoł“).

Fala rewolucyjna rozkołysała szerokie warstwy narodu. Nie tylko chłopi i inteligencja rewolucyjna, lecz również liberalna szlachta, przemysłowcy i nawet część aparatu biurokratycznego domagała się reform społecznych.

W takiej to atmosferze wstąpił Leskow na arenę publicystyczną. Szedł z duchem czasu, pisał o ciężkim położeniu chłopów i robotników, poruszał problemy higieny społecznej, oświaty ludu, walki z alkoholizmem, reformy więziennictwa. Kierunek ówczesnej jego publicystyki można określić jako „legalny liberalizm“. Agitował za reformami inspirowanymi z góry, lecz nie aprobował buntów chłopskich.

Uwłaszczenie chłopów w 1861 r. było, według określenia Lenina, „najbezczelniejszym obrabowaniem chłopów, szeregiem gwałtów i kompletnym szyderstwem“[1]). Chłopstwo okazało się okrutnie zawiedzione w swoich nadziejach i zareagowało potężnymi rozruchami we wszystkich prawie guberniach. Nastrój niezadowolenia i protestu ogarnął szerokie warstwy narodu. Można było się spodziewać mocnych wstrząsów społecznych.

Masowy charakter ruchu rewolucyjnego odstraszył elementy umiarkowanie liberalne. Ci, którzy z początku głośno występowali w obronie „ludzkich praw “chłopstwa, cofnęli się przed widmem rewolucji i zaczęli godzić się z polityką rządu.

Do takich należał i Leskow. W 1862 r. ukazał się jego artykuł o wyraźnych akcentach antydemokratycznych, co wywołało ostry konflikt między nim a prasą postępową. Z surową krytyką wystąpiły „Sowriemiennik“, „Kołokoł“ i inne pisma demokratyczne. Leskow z początku usiłował się usprawiedliwić, potem zaciął się i zrobił zdecydowany zwrot na prawo. Odtąd łamy prasy postępowej były dla młodego pisarza na długie lata zamknięte, a on sam coraz wyraźniej przechodził na pozycje reakcji.

Swoje zerwanie z najlepszą częścią społeczeństwa rosyjskiego przeżywał Leskow boleśnie i długo, skutki jego odczuwał do końca życia. Stanowiło to, jak sam mówił, najcięższą jego tragedię. Wiele lat musiało upłynąć, zanim dobiegając już pięćdziesiątki, przekonał się, że wybrał drogę niesłuszną.

„Okres reakcyjny“ biografii Leskowa trwał do drugiej połowy lat siedemdziesiątych. Pod względem twórczym był to okres bardzo nierówny. Obok nieudałych powieści — pamfletów, skierowanych przeciwko działaczom rewolucyjnym, stworzył także wysoce artystyczne dzieła, jak „Powiatową lady Macbeth“, „Życie pewnej baby“, „Wojownicę“.

W latach siedemdziesiątych zaczął się rozkwit twórczych sił pisarza, w miarę dojrzewania talentu narastał również kryzys wewnętrzny, który doprowadził wreszcie Leskowa do całkowitego zerwania z obozem reakcyjnym.

W ciągu ostatniego dwudziestolecia swego życia Leskow ze wzrastającą siłą i talentem daje szereg wspaniałych utworów o coraz ostrzejszym charakterze antyrządowym: „Cyrulik artysta“, „Człowiek na warcie“, „O stalowej pchle“, „Igranie z bałwanem‘ — To ostatnie opowiadanie ujrzało światło dzienne dopiero po obaleniu caratu. Wraz ze zmianą kierunku działalności literackiej pisarza zaczęły się szykany ze strony cenzury i władz. Koła rządowe mściły się na swoim byłym zwolenniku za „zdradę“.

W 1889 r. na rozkaz cenzury, skonfiskowano i spalono tom dzieł Leskowa, zawierający satyryczne opowiadania z życia duchowieństwa. Cios ten spowodował pierwszy atak astmy, a po pięciu latach 21 lutego 1895 roku, Leskow zmarł na influenzę, na skutek osłabienia serca... Zmarł w pełni sił twórczych, daleki jeszcze od wypełnienia wszystkich swoich zamiarów artystycznych.

Leskow pozostawił po sobie ogromną puściznę literacką, bardzo różnorodną w charakterze i wartości. Próbował swych sił w wielu gatunkach literackich: w powieści, kronice, opowieści, krótkiej noweli. Podzielał zdanie, że wszystkie rodzaje literatury są dobre, oprócz nudnych. Nie we wszystkich jednak celował: najmniej udawały mu się długie powieści, najlepiej—krótkie opowiadania. Potrafił stworzyć własny, oryginalny typ noweli.

Kiedy mówimy o wysokim kunszcie pisarskim Leskowa, mamy na myśli przede wszystkim jego język, który zdumiewa i oszałamia wprost swoim malowniczym bogactwem. Leskow umiejętnie stosował w swych dziełach materiał językowy, którego dostarczyły mu długoletnie obserwacje przeprowadzane w bardzo odmiennych środowiskach. Znał doskonale słownik ludzi najrozmaitszych zawodów i sfer: chłopów, kleru, staroobrzędowców, rzemieślników, artystów, urzędników i wyższej biurokracji, uczonych i intelektualistów, arystokracji i kupiectwa, zbrodniarzy i włóczęgów Materiał ten wykorzystywał nie tylko dla wzbogacenia swego leksykonu artystycznego, ale również dla słowotwórstwa, dla mistrzowskiej stylizacji i parodii. Umiał „podrabiać“ wyrazy gwarowe, przekręcać wyrażenia inteligencji, jak to robi prosty lud, nadając im sens niespodziewany i często komiczny, pod taką manierę na przykład napisana jest cała powieść „O stalowej pchle“.

Język pełnił u Laskowa funkcje znacznie szersze niż dzieje się to zazwyczaj u pisarza. Służył nie tylko do opisywania akcji, tła i bohaterów, lecz w dużym stopniu do cieniowania charakterów, zastępując niekiedy inne środki obrazowania.

Gorki w przedmowie do dzieł Leskowa pisał:

„Tołstoj, Turgieniew lubili stwarzać dokoła swych postaci takie lub inne tło, które bardziej malowniczo rysowała ich bohaterów, a także w dużym stopniu stosowali krajobraz, opisując tok myśli i powikłania uczuciowe człowieka; Leskow prawie nigdy tego nie robił a mimo to osiągnął te same wyniki, umiejętnie snując koronkową nić mowy potocznej... Ludzie z jego nowel często opowiadają o sobie, mowa ich jest zaś tak zdumiewająco żywa, tak autentyczna i sugestywna, że stają oni przed nami tak samo dziwnie bliscy i dotykalni, jak ludzie z książek Lwa Tołstoja i innych; innymi słowy, Leskow osiąga ten sam efekt za pomocą odmiennej metody“.

Rozszerzając w ten sposób funkcje języka w swych dziełach, Leskow wprowadził pewną innowację do współczesnej mu literatury. Prawda, miał poprzednika w osobie Gogola; lecz wielki satyryk nie rozwinął tej metody tak szeroko i konsekwentnie jak Leskow.

Bogactwo i barwność języka Leskowa, dające niekiedy wrażenie przesady, charakteryzuje trafnie Lew Tołstoj w liście do autora:

„Zacząłem czytać „Godzinę woli bożej“ (bajka Leskowa — N. M.) i bardzo mi spodobał się ton i niezwykły kunszt słowotwórczy, ale... potem wystąpiła osobliwa wada Pańska, której zdawałoby się tak łatwo pozbyć, a która właściwie nie jest wadą, lecz zaletą: exubérance obrazów, kolorów, charakterystycznych wyrazów, które upajają Pana i porywają...“

Sam Leskow uważał te przerosty kolorystyczne za właściwość swojej natury pisarskiej: „Pisać tak prosto, jak Lew Tołstoj, nie umiem. Nie leży to w charakterze mojej twórczości...“

Trzeba jednak zaznaczyć, że w dziełach ostatniego okresu opowiadanie „Straszydło“ lub „Człowiek na warcie“, widzi się dążenie pisarza do mowy bardziej prostej i precyzyjnej.

Niemniej swoistą była metoda kompozycyjna Leskowa. W poszukiwaniu jak najwłaściwszej formy zerwał z tradycyjnym pojęciem gatunków literackich i stworzył nowe zasady architektoniczne w budowie powieści i noweli.

Zarówno w dużych, jak i w małych utworach, Leskow chętnie stosuje formę narracyjną. Zazwyczaj, jakiś człowiek z dużym doświadczeniem życiowym opowiada o przygodach własnych i cudzych, zahaczając przy tym o mnóstwo ciekawych zdarzeń i typów, bezpośrednio z głównym wątkiem nie związanych i nawet nie bardzo ze sobą skoordynowanych. Daje to możność dowolnego rozszerzenia i urozmaicenia fabuły, wmontowywania w tekst wielu „pobocznych nowel“. Jedynym elementem, który łączy w jakąś całość ten tak różnorodny materiał, jest osoba narratora.

Niekiedy owa luźna budowa powoduje pewną chaotyczność utworu; czytelnik gubi się w epizodach drugo- i trzecioplanowych i zatraca zainteresowanie dla akcji głównej. Ale w najbardziej doskonałych dziełach tego rodzaju, jak w „Zaczarowanym wędrowcu“, w „Wojownicy“, w „Nieśmiertelnym Gołowanie“, każde odchylenie od głównego nurtu jest mocno umotywowane, bo autor nie tylko wprowadza nas w zajmującą sytuację lecz jednocześnie odsłania jakiś nowy, a istotny rys swoich postaci. W rezultacie czytelnik z niesłabnącym napięciem śledzi los bohaterów, aby pod koniec pojąć w pełni sens utworu i ukazanych w nim ludzi.

Leskow stosował również bardziej prostą konstrukcję, bez narracji i wmontowanych nowel: na przykład, w opowieściach „Powiatowa lady Macbeth“ „Człowiek na warcie“ i w noweli „Samodum“... Wielką zwartość i jasność osiąga tu przez rozwinięcie głównego motywu, przez maksymalną wymowę i plastyczność każdego szczegółu i równowagę wszystkich pierwiastków kompozycyjnych.

(Dokończenie ze strony szóstej)

*) LENIN: „Reforma chłopska“. Cytuję według wydania rosyjskiego.

MIKOŁAJ LESKOW

ŁACI

I

Głupi to zwyczaj życzyć każdemu na Nowy Rok szczęścia, a jednak niekiedy to się sprawdza. Pozwólcie państwo, że wam na ten temat opowiem niedługą historyjkę o charakterze zgoła zapustnym.

Podczas jednego z mych dawnych pobytów w Moskwie musiałem się tam zatrzymać dłużej niż zamierzałem; sprzykrzyło mi się mieszkać w hotelu. Psałterzysta cerkwi nadwornej słyszał, jakem się skarżył na niewygody życia hotelowego swemu przyjacielowi — parochowi owej cerkwi. Powiada tedy:

— Dobrze by było, ojcze, żeby się pan przeniósł do mego kuma: ma akurat wolny pokój od ulicy.

— Do którego kuma? — pyta paroch.

— A do Wasyla Konycza.

— Ach, to ten *metr tajler Leputan?*)

— Ten sam.

— Istotnie. Byłoby nieźle.

I paroch wyjaśnił mi, że zna tych ludzi, że pokój ładny. Psałterzysta zaś podkreślił jeszcze jedną dobrą stronę przeprowadzki:

— Gdyby się — powiada — coś panu przedarło albo spodnie się wystrzępią u dołu, tak panu naprawi, że nic znać nie będzie.

Dalsze informacje uznałem za zbędne i nawet nie poszedłem obejrzeć pokoju: dałem psałterzyście klucz od mego numeru z karteczką uwierzytelniającą, poleciłem mu załatwić rachunki w hotelu, zabrać moje rzeczy i przewieść je do jego kuma. Poczem miał wstąpić po mnie do parocha i zaprowadzić mnie do mego nowego mieszkania.

II

Psałterzysta uwinął się szybko i w niespełna godzinę przyszedł po mnie.

— Chodźmy — powiedział: — rzeczy pańskie już tam rozpakowane i ułożone, okna pootwierane, drzwi od balkonu na ogród rozwarte. Nawet żeśmy z kumem na balkoniku herbaty się napili. Przyjemnie tam jest— opowiadał — Kwiaty dokoła, w agreście gnieżdżą się ptaki, w klatce pod oknem słowik kląska. Lepiej nawet niż na letnisku, bo z jednej strony zieloność, a z drugiej — porządek domowy, i niech się jaki guzik naderwie albo spodnie wystrzępią — już pan ma zrobione.

Psałterzysta był chłop akuratny i wielki elegant, dlatego też szczególnie uwydatniał tę zaletę mego nowego mieszkania. Paroch przytakiwał mu:

— Ani słowa — mówił — tailleur Lepoutant to taki artysta swego fachu, że drugiego nie znaleść ani w Moskwie, ani w Petersburgu.

—Specjalista! — dodał znacząco psałterzysta, podając mi palto.

Lepoutant? Nic o nim nie wiedziałem, zresztą nie obchodziło mnie to wcale.

III

Poszliśmy na piechotę. Psałterzysta przekonywał, że nie warto brać dorożki, bo to tylko „dwa kroki spacerkiem“.

W istocie jednak okazało się, że to pół godziny drogi. Ale psałterzysta miał chętkę odbyć „spacerek“, dlatego pewnie, żeby się pokazać z nową laseczką, ozdobioną jedwabnym chwaścikiem lila.

Dzielnica, gdzie mieszkał Lepoutant, leżała za rzeką Moskwą, nad samym brzegiem. Nie pamiętam już dziś tej okolicy i jak się ów zaułek nazywał. Ściśle mówiąc, nie był to nawet zaułek: raczej jakiś ślepy zakątek, w rodzaju cerkwiszcza starodawnego. Po środku stała cerkiewka, dokoła niej biegła załamując się drożyna, i przy tej drożynie skupiło się właśnie kilka domków — niedużych, szarych, drewnianych; jeden z nich na podmurówce. Ten był najpokaźniejszy i największy; nad całym jego frontem widniał duży szyld blaszany, a na nim złotymi literami na czarnym tle znaczyło się wyraźnie i czytelnie:

Maitre tailleur Lepoutant

Tu oczywiście miałem zamieszkać. Wydało mi się jednak dziwne, dlaczego mój gospodarz imieniem Wasyl Konycz, nazywa się po francusku? Kiedy go tak nazwał mój paroch, myślałem, że to żart i nie nadałem temu żadnego znaczenia. Teraz jednak, widząc taki szyld, musiałem zmienić zdanie. Rzecz wyglądała poważnie. Toteż zapytałem mego przewodnika:

— Ten wasz Wasyl Konycz — to Rosjanin czy Francuz?

Psałterzysta zdziwił się i jak gdyby nie od razu zrozumiał pytanie. Po chwili odrzekł:

— Co też pan! Jak to można! Skądże Francuz? Czystej krwi Rosjanin! Nawet odzież na sprzedaż robi tylko rosyjską: kaftany i tym podobnie. Ale przede wszystkim znany jest w całej Moskwie z reperacji: strach ile starej odzieży idzie przez jego ręce na rynek za nową.

— Chyba jednak — ciągnę dalej za język psałterzystę — pochodzenia musi być francuskiego?

— Co znowu? — zdziwił się po raz drugi — dlaczego francuskiego? Najprawdziwszej natury swojskiej, rosyjskiej. I w kumy mnie zawsze prosi. Do prawosławnych się przecież zaliczamy, popowskiego stanu jesteśmy. Skąd to się panu ubrdało, że on ma coś z nacją francuską wspólnego?

— Na szyldzie widzę napis i nazwisko francuskie.

— Ach, jeśli o to chodzi: głupstwo, śmiechu warte. Pod firmą — jak to się mówi. I tylko na głównym szyldzie po francusku, a tam przy bramie — widzi pan? — drugi szyld, rosyjski: ten jest prawdziwy.

Spojrzałem — rzeczywiście: przy bramie drugi szyld; na nim wymalowana kapota, kaftan i dwie czarne kamizelki ze srebrnymi guzikami, które się świecą jak gwiazdy w ciemności. U dołu napis:

„Robi się kościumy odzieży rosyjskiej i duchownej. Specjalność stępowanie, nicowanie i reperacje“.

Nazwisko wytwórcy „kościumów“ nie było tu podane; zastępowały je skromnie tylko dwie litery: „W. Ł.“.

IV

I lokal i gospodarz w rzeczy samej przeszli wszelkie spodziewanie i pochwały. Od razu też poczułem się jak w domu i polubiłem szybko swego miłego gospodarza Wasyla Konycza. Zaczęliśmy razem pijać herbatę, gawędzić godziwie o rzeczach najrozmaitszych. Takim trybem, razu pewnego, siedząc przy herbacie na balkoniku, zeszliśmy na królewskie tematy eklezjasty o marności wszystkiego, co jest pod słońcem, i o naszej nieustannej pogoni za tą marnością. Tuśmy się dogadali do Leputana.

Nie pomnę, jak to się złożyło: dość na tym, że Wasyl Konycz zapragnął opowiedzieć mi dziwną historię: jak i dlaczego znalazł się „pod francuskim tytułem“. Pozostaje to w niejakim związku z obyczajowością naszą: dlatego jest ciekawe.

Swą prostą opowieść zaczął Konycz w sposób nader zajmujący:

— Nazwisko moje, panie łaskawy— powiedział — wcale nie Leputan. Inne jest. Pod francuskim tytułem osadził mnie tu sam *los*.

V

Jestem rodowity, rdzenny moskwiczanin, stanu ubogiego. Dziad mój niegdyś na rogatkach wyściółki do butów sprzedawał starowiercom zacnym. Starowina był poczciwy, jak święty z obrazka: siwiutki, niczym zając wyliniały. A jednak aż do śmierci żył z pracy rąk swoich. Kupował wojłok, wycinał go według podeszwy, wiązał parami niteczką i szedł między ludzi chrześcijańskich, wołając uprzejmie: wściółeczki, wściółeczki, komu wściółeczki! Takim sposobem po całej Moskwie chodził. Towaru tego ma za grosz, a przecie wyżywi się. Ojciec mój był krawcem na modłę staroświecką: prawowitym starowiercom szył kaftany przepisowe z trzema fałdeczkami i mnie swego majsterstwa nauczył. Ale od dziecka miałem osobliwy dar cerowania. Skrajać fasonowo nie potrafię, ale do cerowania jestem pierwszy. Takem się do tego nałożył, że gdzie pan sobie życzy — w miejscu najbardziej widocznym przyceruję — i rozpoznać trudno.

Starzy ludzie mówili ojcu:

— Malec ma talent od Boga. A gdzie talent, tam szczęście.

Na to i wyszło. Ale, jak pan wie, do szczęścia trzeba pokory i cierpliwości. Musiałem przez próby niemałe przejść, po pierwsze rodzice odumarli mnie w młodym bardzo wieku; po drugie mieszkanko moje spłonęło nocą w samą wilię Bożego Narodzenia, kiedym był w świątyni Pańskiej na jutrzni. I cały w tym warsztat się mój spalił: i żelazko, i deska do prasowania, i rzeczy cudze, które wziąłem do naprawy. Znalazłem się wtedy w niedoli wielkiej, ale też od tego właśnie był pierwszy krok do mego szczęścia.

VI

Jeden z klientów, któremu przy tej mojej rujnacji spaliło się futro kryte, przyszedł do mnie i mówi:

— Strata moja jest wielka. I akurat na święta przykro zostać bez szuby, widzę jednak, że pobrać od ciebie nic się nie da: trzeba ci jeszcze pomóc. Jeżeliś chłop łebski, to cię na dobrą drogę wyprowadzę, z tym jednak, że z czasem dług mi oddasz.

— Niech mi tylko Bóg dopomoże — ja na to — z największą chęcią to zrobię: za swój święty obowiązek uważam oddanie długu.

Kazał mi się ubrać i zaprowadzić mnie do hotelu, tego co to naprzeciw domu generał-gubernatora; oddał mnie bufeciarzowi i tak mówi przy mnie do niego:

— To właśnie ten czeladnik, o którym wam mówiłem, że w interesach waszych może być bardzo pożyteczny.

A interesy polegały na tym, żeby gościom prasować ubranie wszelakie, jak im się w walizach pogniecie, i robić w razie potrzeby różne reperacje.

Bufetowy dał mi na próbę jedną rzecz do roboty, zobaczył, że wykonanie dobre, kazał mi więc zostać.

— Teraz — powiada — święto narodzenia Pańskiego i dużo gości najechało. Piją i bawią się. A mamy jeszcze przed sobą Nowy Rok i Trzech Króli: rozpusty będzie jeszcze więcej. Zostań.

— Z miłą chęcią — ja na to.

Ten zaś, co mnie przyprowadził, powiada:

— No, uszy do góry! Czuj duch, przyjacielu! Tu można zarobić. Jego tylko — bufeciarza niby — słuchaj jak duszpasterza. A Pan Bóg będzie czuwał nad tobą.

Dali mi w korytarzu od kuchni kącik przy oknie i zabrałem się do roboty. Wielu bardzo —nawet i nie zliczyc ilu — gości wyreperowałem i narzekać na niego sam się nieźle podreperowałem, bo roboty było huk, a płacili dobrze. Ludzie podlejszej maści nie stawali tam: przyjeżdżały same tuzy, co to lubili, żeby się pokazać w oknie naprzeciw okien generała-gubernatora.

Szczególnie słono płacili za połatanie albo przycerowanie w takim przypadku, kiedy uszkodzenie nagle wystąpi w ubraniu, które zaraz kłaść na siebie trzeba. Czasami wstyd mi nawet było: dziurka jak grosz, a jak ja załatam nieznacznie — pięć rubli złotem. Mniej niż czerwieńca nigdy za przycerowanie dziurki nie dostałem. Ale, naturalnie, do tego sztuki prawdziwej potrzeba, żeby tak dziurkę podłatać, żeby się jak kropla wody z resztą materiału zlała, że i odróżnić niepodobna.

Z tych pieniędzy, od każdej zapłaty, otrzymywałem trzecią część: jedną brał sobie bufeciarz, drugą — służba, która gościom w numerach walizy odpakowywała i ubrania czyściła. Od siebie przeważnie wszystko zależało: bo to i rzeczy ona pogniecie i wymiętosi, i dziurkę wydziobie: więc też dla niej trzecia część szła, a reszta dla mnie. Ale i tego miałem tyle, że się z korytarza wkrótce wyniosłem i w tymże podwórzu cichy pokoik wynająłem sobie. Po roku siostra bufeciarza przyjechała ze wsi, to się z nią ożeniłem. Obecna moja małżonka, jak pan ją widzi — to właśnie ona — doczekała szacunku w starości i kto wie — może jej to wszystko mam do zawdzięczenia. Ożeniłem się zaś zwyczajnie tym sposobem, że bufeciarz powiedział do mnie:

— Sierota to, i powinieneś ją uszczęśliwić, a ona ci szczęście wielkie przyniesie.

Ona to samo mówiła:

— Szczęśliwą mam rękę: Bóg ci zapłaci.

I nagle, jak gdyby rzeczywiście się sprawdziło: spotkała mnie niespodzianka przedziwna.

VII

Nadeszło znowu Boże Narodzenie i znowu wilia Nowego Roku. Siedzę wieczorem u siebie, coś tam ceruję, chcę już robotę skończyć i spać iść— a tu raptem przybiega lokaj hotelowy z krzykiem:

— Dymaj prędzej! Pod pierwszym straszny tuz stanął! Tuz nad tuzy. Wszystkich bodaj przewyższył. Kogo w pysk strzeli, tego czerwieńcem obdzieli. Woła ciebie do siebie.

— Czego chce? — pytam.

— Na bal się wybiera i w ostatniej chwili w najwidoczniejszym miejscu na fraku dziurkę wypaloną zauważył. Człowieka, co frak czyścił sprał i trzy czerwieńce dał. Biegnij duchem! Zły jak sto diabłów!

Pokiwałem tylko głową, wiedziałem bowiem, jak oni rzeczy gości umyślnie psują, żeby mieć z tego prefit; nie się ubrałem i poszedłem popatrzyć na tego diabła wcielonego.

Wynagrodzenia spodziewałem się ma się wiedzieć dużego, bo pierwszy numer w każdym hotelu liczy się do *kozernych*, i człowiek nie zbytkowny nie zatrzyma się tam. A w naszym hotelu cena pierwszego numeru wynosiła na dobę, na dzisiejsze czasy, piętnaście rubli. Więc tego, co tu stawał, nazywano Kozera.

Ten, do którego poszedłem, z wyglądu był okropnie straszny: wzrostu olbrzymiego, na twarzy czarniawy i dziki i rzeczywiście do wszystkich diabłów podobny.

— Potrafisz — pyta mnie wściekłym głosem: — tak dziurkę zacerować, żeby znaku nie było?

— Zależy — powiadam — w czym. Jeżeli rzecz włochata, można to bardzo doskonale zrobić; ale jeżeli atłas błyszczący albo jedwab szanżan, to się nie podejmuję.

— Sam ty jesteś szanżan — on na to — A tu wczoraj jakiś drań, siedząc pewnie z tyłu za mną, cygarem mi frak wypalił. Obejrzyj-no i powiedz.

Obejrzałem i mówię:

— To się da dobrze zrobić.

— A czy prędko?

— Za godzinę — powiadam — będzie gotowe.

— Zabieraj się więc — on na to— Jak dobrze zrobisz, dostaniesz nagrodę, a nie — to kijem pod brodę. Przepytaj tu służbę, jak ją wygrzmociłem, i pamiętaj, że ty oberwiesz jeszcze więcej.

VIII

Zabrałem się do cerowania — i nierad jestem, bo nigdy niewiadomo, jak wypadnie. Wiotsze sukno łatwiej się zlepi, a które szorstkie trudniej je podłatać tak, żeby było nieznacznie.

Udało mi się jednak doskonale, ale sam roboty nie odniosłem, bo mi się jego obejście nie podobało. Cerowanie — to robota niewdzięczna: choćby człowiek najlepiej zrobił — ale, jak to się mówi: kto chce psa uderzyć, kij zawsze znajdzie. Posłałem więc frak przez żonę do jej brata, powiedziałem, żeby oddała, sama zaś, żeby natychmiast z powrotem. Jak tylko wróciła, zamknęliśmy się na hak od wewnątrz i położyli spać.

Z rana wstałem i rozpocząłem dzień, jak Bóg przykazał. Siedzę i czekam, co też mi od kozernego pana przyniosą: nagrodę czy kijem pod brodę.

Wreszcie, około godziny drugiej, przychodzi lokaj z hotelu i mówi:

— Pan spod pierwszego woła cię do siebie.

— Za nic nie pójdę — ja na to.

— A to niby dlaczego?

— Nie pójdę i już. Niech lepiej będzie moja strata, a widzieć go nie chcę.

*) *Zepsute francuskie: „maitre tailleur Lepoutant“ — „mistrz krawiecki Lepoutant“.*

ARZ

Lokaj zaczął mi perswadować:

— Niepotrzebnie się strachasz. Bardzo jest z twojej roboty zadowolony; wybalował się w twoim fraku na Nowy Rok i nikt dziurki nie zauważył. Teraz ma u siebie gości na śniadaniu; przyszli mu składać życzenia noworoczne; podpili sobie fest i zaczęli o twojej robocie gadać; poszli o zakład, kto dziurę znajdzie — i nikt nie znalazł. Są w dobrych humorach i korzystając z okazji piją za twoje mistrzostwo rosyjskie i ciebie samego chcą widziec. Wal prędzej: powiadam ci, że nowy rok szczęście ci przyniósł.

Żona też nalegała:

— Idź — powiada — idź! Serce moje czuje, że szczęście się nam uśmiecha.

Usłuchałem i poszedłem.

IX

W numerze było z dziesięciu panów, bardzo już wstawionych. Jakem tylko wszedł, zaraz mi dali kielich wina i mówią:

— Pij razem z nami za swoją sztukę rosyjską, przez którą naród nasz rozsławić możesz.

I różne takie różności plotą — jak to przy kieliszku — o mojej robocie, i tak ją chwalą, że aż wstyd mi się robi. Kłaniam się naturalnie i dziękuję, i już dwa kielichy wypiłem za Rosję i za ich zdrowie. Więcej — powiadam — pić wina słodkiego nie mogę, bom nie wzwyczajon do niego, a i towarzystwa takiego nie jestem codzien.

A ten straszny gość spod pierwszego mówi:

— Głupi jesteś, bracie, osioł i bydlę. Sam nie wiesz, ileś wart, jaka jest cena talentu twojego. Pomogłeś mi w tym nowym roku wszystkie widoki na życie poprawić, bo wczoraj na balu wybrance serca mojego dobrego gniazda miłość wynurzyłem i zostałem przyjęty. W te zapusty wesele moje będzie.

— Życzę tedy panu — powiadam— i przyszłej małżonce pańskiej w szczęściu zupełnym przystąpić do ołtarza ślubnego.

— Więc wypij za to!

Nie mogłem odmówić i wypiłem. Ale co do dalszego — proszę o zwolnienie.

— Zgoda —on na to — Musisz mi tylko powiedzieć, gdzie mieszkasz, jak się nazywasz z imienia, z ojca i z nazwiska: dobroczyńcą twoim chcę być.

— Nazywam się — mówię — Wasyl, a z ojca — Konycz, a po przezwisku Łaputin; warsztat mój tuż obok w podwórzu; wisi tam szyldzik mały i zaznaczone jest na nim: Łaputin.

Mówię to, i widzę, że na moje słowa wszyscy goście jakoś parsknęli i zaczęli się pokładać ze śmiechu; a mój pan kozerny, ni z tego ni z owego, chlast mnie w ucho, chlast mnie w drugie, że ledwie na nogach ustałem. A ten kopsańcem wystawił mnie za drzwi i wyrzucił.

Nic z tego nie rozumiałem — i co prędzej nogi za pas.

Przyszedłem do domu, a żona do mnie:

— Gadajże zaraz, Wasylku, jak ci się moje szczęście przysłużyło?

— Nie pytaj mnie — powiadam — Masza, o całe wyszczególnienie dokładnie. Powiem ci tyle, że jeżeli to ma być początek i w taki sposób pójdzie dalej, wolej by szczęścia twojego nie oglądać. Zbił mnie ten gość, aniele mój, jak psa.

Żona się zatrwożyła: dlaczego niby, za co, jakim prawem? A ja jej nic naturalnie wytłumaczyć nie mogę, bo sam nie wiem.

Medytujemy tak, a tu w sieni coś zastukało, zaszczękało, zagrzmiało: drzwi się otwierają i wchodzi mój dobroczyńca spod pierwszego.

Zerwaliśmy się i patrzymy. A ten, cały zaczerwieniony ze wzruszenia wewnętrznego, a może i od wina, trzyma w jednej ręce siekierę stróżowską na długim toporzysku, a w drugiej — porąbaną na drzazgi deseczkę mego nędznego szyldziku, na którym zaznaczone było moje rzemiosło biedne i nazwisko: „Starzyznę naprawia i nicuje Łaputin".

X

Rzucił mój kozera tę deseczkę porąbaną wprost do pieca i woła do mnie:

— Zabieraj się! Jedziemy zaraz ze mną powozem: szczęście twego życia chcę odrobić! A jak nie — i ciebie i żonę, i wszystko co tu macie porąbię jak tę deskę.

Myślę sobie: mam się kłócić z takim hałaburdą? Trzeba go prędzej stąd wyprowadzić, żeby jeszcze żonie jakiej krzywdy nie zrobił.

Ubrałem się w te pędy i mówię do żony:

— Przeżegnaj mnie, Masza!

Pojechaliśmy. Zajechaliśmy na ulicę Bronną, gdzie mieszkał znany pośrednik handlowy — Prochor Iwanycz. Mój pan pyta go z miejsca:

— Jakie tu masz na sprzedaż domy i w jakiej stronie — tak, od pięciu do ośmiu tysięcy? Ale takiego potrzebuję, żeby go zaraz można było objąć i zamieszkać.

Pośrednik wyjął z szuflady zeszycik, nałożył okulary, zajrzał tu, zajrzał tam i mówi:

— Mam tu dom pod każdym względem dla pana odpowiedzialny, ale trzeba będzie trochę dorzucić.

— Dorzucę.

— Trzeba będzie wyłożyć z dziesięć tysięcy.

— Zgoda.

— W takim razie — powiada pośrednik — za godzinkę możemy interes ubić, a jutro można się będzie przenosić. W tym domu na chrzcinach pop się kością kurzą udławił i umarł; przez to nikt tam teraz nie mieszka.

To właśnie jest ten sam domek, gdzie teraz z panem siedzimy. Gadali ludzie, że pop nieboszczyk chodzi tu po nocach i dusi się, ale to bajki wierutne: nikt tu z nas go nigdy nie widział. Zaraz na drugi dzień przenieśliśmy się tu z żoną, bo pan ów dał nam ten dom w darowiznie. A na trzeci dzień sam przyszedł z robotnikami i z drabiną: przynieśli i wywiesili ten właśnie szyld, że to ja niby krawiec francuski. Przybili go, poszli. Pan zaś mówi do mnie:

— Jeden ci tylko warunek stawiam: żebyś nigdy szyldu tego nie zdejmował i Leputanem się przezwał.

Odwrócił się i zawołał nagle:

— Leputan!

— Słucham pana! — ja na to.

— Zuch, bracie! — powiada — masz tu jeszcze tysiąc rubli na łyżki i miski. Ale pamiętaj, Leputan: przykazanie moje zachowaj, a wówczas sam w zachowaniu będziesz. Gdybyś zaś — strzeż cię, Boże — chciał powrócić do swego dawnego nazwiska, a ja bym się o tym dowiedział... to, na wstępie zbiłbym cię na kwaśne jabłko, a po wtóre — prawo opiewa: darowizna wraca do darodawcy. A jeśli życzenie moje chcesz spełnić, powiedz mi, czego ci jeszcze trzeba: dostaniesz wszystko.

Podziękowałem mu i powiadam, że żadnych życzeń już nie mam i nawet do głowy mi nie przychodzą — oprócz jednego: żeby mi z łaski swojej powiedzieć raczył, co to wszystko znaczy i za co ja dom dostałem?

Ale tego mi nie powiedział.

— To ci wcale do szczęścia niepotrzebne — mówi — Pamiętaj tylko, że odtąd nazywasz się Leputan i tak w akcie mojej darowizny mianowany zostałeś. Zachowaj to imię: wyjdzie ci na dobre.

XI

Zostaliśmy więc we własnym domu na gospodarstwie i zaczęło nam się darzyć. I myśleliśmy, że wszystko to zawdzięczamy szczęściu żony, bo długi czas żadnego wytłumaczenia tej całej sprawy znikąd nie mogliśmy znaleźć. Ale pewnego razu zakręciło się tu jakichś dwóch panów; przystanęli nagle przed naszym domem i wchodzą.

— Panowie sobie życzą? — pyta żona.

— Chcemy widzieć samego mosje Leputana.

Wychodzę. Spojrzeli po sobie, roześmieli się i zagadali do mnie po francusku.

Tłumaczę się, że po francusku nie rozumiem.

— A czy pan dawno — pytają — pod tym szyldem?

Mówię im, ile lat.

— Zgadza się — oni na to — My pana pamiętamy, widzieliśmy. Na Nowy Rok pan jednemu panu nadzwyczajnie frak na bal zacerował. A potem spotkała pana od niego przykrość przy nas, w hotelu.

— Szczera prawda — powiadam — Miałem taki wypadek. Ale panu tamtemu wdzięczny tylko jestem, bo przez niego na ludzi wyszedłem. Nie znam tylko ani imienia ani jego nazwiska, bo wszystko to zataił przede mną.

Powiedzieli, jak ma na imię. A nazwisko — dodają — Łaputin.

— Jak? Łaputin?

— Łaputin. Co się pan tak dziwi? Czyżby pan nie wiedział, że właśnie dlatego to dobrodziejstwo panu wyświadczył? Nie chciał, żeby jego nazwisko na szyldzie figurowało.

— Niech panowie sobie wyobrażą — powiadam — że po dziś dzień nic z tego nie mogliśmy zrozumieć. Korzystaliśmy z tego dobrodziejstwa, nie wiedząc za co i dlaczego.

— Ale jemu to nic nie pomogło — mówią dalej moi goście — Wczoraj nowa mu się historia przytrafiła.

I opowiedzieli mi taką nowinę, że mi się żal serdecznie zrobiło mego imiennika.

XII

Żona Laputina, tą, której się oświadczył w zacerowanym fraku, była jeszcze bardziej na ambicji łaskotliwa od męża i rozmiłowana w honorach, choć oboje byli rodu nie nazbyt wysokiego, tyle tylko, że ich ojcowie wzbogacili się na dzierżawach. W tym czasie generał-gubernatorem w Moskwie był hrabia Zakrzewski, o którym także mówiono, że pochodził ze szlachetków polskich, i prawdziwi panowie, jak książe Golicyn, nie wysoko go stawiali, ale wszyscy inni uważali sobie za zaszczyt, jeśli ich w domu swoim przyjął. Małżonka mego imiennika również pragnęła tego honoru. Jakoś jednak, Bóg wie dlaczego, długo to się im nie szykowało. W końcu pan Łaputin zrobił hrabiemu jakąś grzeczność i ten powiada do niego:

— Odwiedź-no mnie, bracie. Każą cię wpuścić. Powiedz tylko, żebym nie zapomniał, jak się nazywasz?

— Łaputin — powiada.

— Łaputin? — pyta hrabia: — Łaputin... Czekaj-no czekaj z łaski swojej... Łaputin. Coś mi się przypomina... Czyjeż to nazwisko?

— Moje, panie hrabio — powiada tamten.

— Oczywiście, oczywiście, bracie... Twoje. Coś mi się tylko takiego widzi, że był jeszcze jakiś Łaputin. A może to twój ojciec?

— Owszem — powiada mój pan — ojciec mój tak samo Łaputin.

— No właśnie... Toteż pamiętam: Łaputin. Bardzo możliwe, że to twój ojciec. Mam bardzo dobrą pamięć. Zajdź więc, Łaputin, nie odkładając, zaraz jutro, a ja służbę uprzedzę, żeby cię wpuszczono.

Łaputin nie posiada się z radości i nazajutrz jedzie w odwiedziny.

XIII

Choć hrabia Zakrzewski pamięć swoją chwalił, tym razem go zawiodła: nie uprzedził służby, żeby przyjęła pana Łaputina. A ten się rozpędził:

— Jestem ten a ten — powiada — i chcę widzieć hrabiego.

Ale szwajcar go nie puszcza:

— Pan hrabia nikogo nie przyjmuje.

Pan Łaputin przekonywał go na wszelki sposób, że niby nie sam się zgłasza, tylko na zaproszenie hrabiowskie: szwajcar był głuchy na wszystko:

— Nikogo — powiada — wpuszczać nie mam rozkazu, a jeżeli pan w interesie, proszę do kancelarii.

— Nie w interesie — obraził się Łaputin — tylko po znajomości. Pan hrabia na pewno ci powiedział moje nazwisko, ale ci się coś pokiełbasiło. Łaputin się nazywam.

— Żadnego nazwiska pan hrabia mi nie mówił.

— Nie może być! Zapomniałeś: Łaputin.

— Nigdy nic nie zapominam, a tego nazwiska tym bardziej, bo sam jestem Łaputin.

Łaputin aż się zagotował cały.

— Ach ty! — krzyknął — kto ci się pozwolił tak nazywać?

— Nikt mi nie pozwolił — szwajcaj mu na to — A z takiego już pokolenia jestem. W Moskwie Łaputinów mnóstwo niemożebne, tylko że reszta to łapserdaki: ja jeden wyszedłem na człowieka.

W tym czasie, kiedy się tak kłócili, schodzi ze schodów hrabia i powiada:

— Rzeczywiście, teraz mi się przypomniało. To jest właśnie Łaputin, i również kawał szubrawca. A ty bracie, przyjdź innym razem, bo teraz czasu nie mam. Do zobaczenia!

Naturalnie, że po takim przyjęciu— zobaczenia się już być nie mogło.

XIV

Opowiedział mi to wszystko maitre tailleur Lepoutant ze skromnością współczującą i na zakończenie dodał, że akurat na drugi dzień, gdy szedł z robotą przez bulwar, przygodziło mu się zobaczyć samego autentycznego Łaputina, którego słusznie uważał za swego dobrodzieja.

— Siedział — opowiadał mi — na ławeczce bardzo smutny. Chciałem się prześliznąć, ale mnie zauważył i zawołał:

— Jak się masz, monsieur Lepoutant! Jak ci się powodzi?

— Z łaski boskiej i pańskiej bardzo dobrze. A pan dobrodziej jakże się miewa?

— Jak najgorzej. Paskudna historia mi się przytrafiła.

— Słyszałem — mówię — i ucieszyłem się, że przynajmniej szwajcara tego pan nie tknął.

— Niepodobna go tknąć — powiada— bo nie jest to człowiek z wolnej ręki żyjący, ale u hrabiego za szubrawca służy. Chciałbym jednak wiedzieć, kto go przekupił, żeby mi taką podłość zrobić?

A Wasyl Konycz w prostocie ducha zaczął pana pocieszać:

— Niech pan nie szuka w tym żadnego poduszczenia. Łaputinów w rzeczy samej dużo, i są między nimi ludzie zacni, jak na przykład mój dziadek nieboszczyk, który po całej Moskwie wyściółki sprzedawał...

Nie zdążyłem powiedzieć, a ten jak mnie nie zdzieli kijem przez plecy... Dałem nogę i od tamtego czasu już go nie widziałem. Słyszałem tylko, że z małżonką wyjechał za granicę, do Francji, zrujnował się tam i umarł. A ona mu pomnik postawiła i podobno przypadkiem z takim samym nazwiskiem, jak u mnie na szyldzie: Leputan. I znowu tak wypadło, żeśmy imiennicy.

XV

Gdy Wasyl Konycz skończył, zapytałem go, dlaczego teraz nie chce zmienić szyldu i powrócić do swego prawowitego nazwiska rosyjskiego?

— A pocóż, proszę pana — powiedział: — płoszyć to, co nam szczęście przyniosło? Można przez to szkodę całej tu okolicy wyrządzić.

— Jakąż znowu szkodę?

— Ano tak. Choć wszyscy wiedzą, że mój szyld francuski to tylko dla firmy, jednakże przez niego całe to miejsce innego szyku nabrało i sąsiedzi moi całkiem inny profit niż pierwej ze swych domów mają.

Tak to Wasyl Konycz pozostał Francuzem gwoli pożytkowi obywateli swego zakamarka, jego zaś możny imiennik — bez żadnego pożytku zgnił pod przezwiskiem na paryskim Père-Lachaise.

Mikołaj Leskow
przełożył **Jerzy Wyszomirski**

Opowiadanie z tomu „Utwory wybrane" Leskowa, który wkaże się niebawem nakładem „Czytelnika".

JERZY SZANIAWSKI

Opowiadania kawiarniane prof. Tutki

Profesor Tutka wśród melomanów

Kilku miłośników muzyki rozmawiało o instrumentach. Zastanawiano się, który z powszechnie znanych instrumentów, działa najsilniej, najbardziej bezpośrednio na słuchacza. Najwięcej głosów otrzymały skrzypce. „Skrzypce — powiedział ktoś — mogą mnie doprowadzić do ekstazy". Ktoś inny ujął się za wiolonczelą, jednakże w opinii górowały skrzypce. Gdy była mowa o fortepianie — owszem, przyznawano mu wiele, i to, że skala duża i wygrać można wszystko — ale właśnie tego oddziaływania, tego, co może doprowadzić niemal do ekstazy — tego fortepian dać nie może.

— A jednak... — odezwał się milczący do tej pory profesor Tutka — a jednak... Opowiem państwu moje przeżycie. Jechałem statkiem z Genui do Aleksandrii. Morze było spokojne, a na pokładzie zebrało się mnóstwo podróżnych. Między nimi był młodzieniec, jak mi sam mówił na wpół Grek, na wpół Rumun, człowiek w zachowaniu się swoim trochę ekscentryczny, trochę, można powiedzieć wariat, ale — pianista... wprost fenomenalny! Właśnie z nim rozmawiałem, gdy na pokładzie dał się zauważyć jakiś gorączkowy ruch załogi. Po chwili spokojne morze zaczęło jakby zmieniać swój kolor i wezwano nas do opuszczenia pokładu, gdyż spodziewana jest, krótko mówiąc — burza. Wówczas ten na wpół Grek, na wpół Rumun, pianista... wprost fenomenalny, powiedział tylko: — Chcę grać!

Zeszliśmy z nim do saloniku koncertowego, — mówiąc nawiasem, statek był luksusowy — i pianista zasiadł do fortepianu. Ledwie uderzył w klawisze, stało się coś nieoczekiwanego: dziób statku poszedł gwałtownie w górę a przymocowany specjalnie do podłogi fortepian, zerwał swoje więzy i odjechał na kółkach od pianisty. W ostatniej chwili, chwyciłem pianistę, który z wyciągniętymi rękami pozostał na taburecie — powtarzam, w ostatniej chwili, gdyż dziób statku wpadał teraz na dół jak w przepaść, a fortepian wracał. Oczywiście, że nie wróciłby grzecznie pod ręce pianisty, ale pędząc ku przeciwległej ścianie — zmiótłby po prostu człowieka!

Gdyby dziób statku wpadał tylko w dół lub podnosił się ku górze, fortepian jeździłby tam i z powrotem, po jednej linii — i można by obrać jakiś punkt strategiczny, aby nas nie rozpłaszczył na ścianie. Ale rozszalała nagle burza, zaczęła rzucać statkiem w wszystkie strony: skręcała go, przewracała na boki! Nie można było przewidzieć, z której strony uderzy w nas, już wprost rozszalały fortepian. W pewnej chwili rzuciliśmy się do drzwi — drzwi ktoś zamknął! Grozę sytuacji powiększała ciemność, w której rozszalałe cielsko fortepianu, szczerząc klawisze i jęcząc strunami, przy każdym uderzeniu o ścianę — wstrząsało widmem śmierci.

Nie orientując się zupełnie, że nikt treści mego wołania nie zrozumie, zacząłem krzyczeć po polsku: „Ratunku! ratunku!" Pianista to samo słowo krzyczał raz po grecku a raz po rumuńsku. Wreszcie zaczęliśmy krzyczeć, to mało krzyczeć: darliśmy się w języku międzynarodowym: S. O. S.! S. O. S.!

Ktoś otworzył drzwi. Wpadliśmy w te drzwi otwarte w ostatniej chwili, bo fortepian z jakąś wściekłością, z jakąś nieprawdopodobną furią pędził za nami, aż oparł się z jękiem, łoskotem na ścianie.

— Proszę państwa — mówił profesor Tutka — nie skrzypce, nie wiolonczela — ale fortepian, właśnie fortepian zrobił na mnie najpotężniejsze wrażenie w mym życiu — tego dnia, gdy szalała burza na morzu, a ten na wpół Rumun, pianista... wprost fenomenalny! zasiadł do fortepianu i... nie mógł na nim grać.

rys. Jan Lenica

Profesor Tutka a hasło „Sztuka dla sztuki"

Ktoś z rozmawiających twierdził, że kierunki i hasła w sztuce, które pozornie są już przestarzałe i zapomniane, zjawiają się znów, jak powracająca fala. Ale ktoś inny twierdził z uporem, że na przykład takie hasło jak „sztuka dla sztuki" już nigdy nie wróci.

Uciszono się, bowiem profesor Tutka zaczął opowiadać.

— Byłem wówczas w Brazylii i znalazłem się tam na skraju dziewiczego lasu. W pewnej chwili posłyszałem, jak ktoś powiedział: „szczenię szczeka w szczawiu". Czy mnie słuch myli? Znów słyszę: „szczenię szczeka w szczawiu". Nadsłuchuję: i znów: „szczenie szczeka w szczawiu".

Opowiadania przerwał sędzia.

— Proszę pana, jeżeli mi pan jeszcze czwarty raz powtórzy — „szczenię szczeka w szczawiu" to — za siebie nie odpowiadam! Bo rozumiem: nie wszystko o czym mówimy, ma posiadać myśl głębszą. Ale musi być w tym jaki taki sens. A pan nam tu opowiada... Dlaczego w szczawiu pytam, dlaczego w szczawiu?!

— Panie sędzio. Gdyby wobec pana, kobieta-Polka, powiedziała „szczenię szczeka w szczawiu", mógłby pan słusznie wysunąć zarzut, że w tym nie ma myśli głębszej. Ale: gdyby to powiedziała cudzoziemka, to by pana przede wszystkim zastanowiło to, że może ona wymówić tak trudne słowa.

— A no to mów pan od razu, że to była cudzoziemka.

— Tak, papuga.

— Papuga?

— Papuga. Zacząłem się zastanawiać, skąd papuga, na skraju dziewiczego lasu mówi po polsku? Zacząłem myśleć, jak detektyw. A ponieważ czytywałem i książki kryminalne, wiedziałem jak powinien myśleć detektyw. Naprzód musi się zastanowić i dopiero — wywnioskować. Nigdy odwrotnie. Zastanowiłem się i wywnioskowałem, że tu musi mieszkać jakiś Polak, który nauczył mówić papugę po polsku. I nie jest to Polak zwykły: bo, że zdolny a nawet utalentowany, to — nie ma w tym nic nadzwyczajnego: Polacy są zdolni i utalentowani: ale był to przy tym Polak — cierpliwy. Do jakiego stopnia był cierpliwy, to mogę ja tylko osądzić, gdyż niegdyś założyłem szkołę dla jąkałów, a przez rok pracowałem w szkole dramatycznej. I tu i tam tylko rok uczyłem wymowy: po prostu, nie mogłem wytrzymać, zabrakło mi cierpliwości. Zacząłem się zastanawiać, jaki cel miał ten Polak, który uczył papugę, jaka idea mu przyświecała? Bo to, czego dokonał nie można nawet nazwać „szerzeniem kultury polskiej za granicą". I nie można przypuścić, aby to zrobił dla zabawki. Owszem, znałem rodaków na obczyźnie, co uczyli dla zabawki. Uczyli cudzoziemkę słów nieprzystojnych, a potem taki nicpoń za boki się łapał, kiedy cudzoziemka w dobrej wierze to powtarzała. Ale trzeba zauważyć, iż we wszystkich językach słowa nieprzystojne mają to do siebie, że są łatwe do wymówienia. A tu — coś wręcz innego: bo i przyzwoite i trudne. A więc człowiek ten wkładał w tę naukę trud, silną wolę, upór — i trzeba to nazwać poważną pracę. Dlaczego to zrobił? Widocznie hołdował on hasłu: „sztuka dla sztuki".

Słuchacze profesora Tutki orzekli, iż jest to przykład doskonały: ten Polak zdolny, utalentowany, a w dodatku Polak cierpliwy — nie zrobił nic, jak to inteligentnie zauważono, ani dla kraju, ani dla Brazylii. A więc hasło „sztuka dla sztuki", któremu hołdował, jako bezużyteczne — już nie powinno powrócić.

Profesor Tutka daje przykład opowiadania pogodnego

Do towarzystwa, z którym rozmawiał profesor Tutka podszedł zmartwiony młodzieniec. Gdy spytano go, dlaczego jest w złym humorze — powiedział, że nie przyjęto w pewnej redakcji opowiadania, które napisał. Nie dlatego, że — złe, tylko że — ponure i odbierające czytelnikom pogodę ducha. Młodzieniec irytował się przy tym na redakcję i pogodę ducha czytelników.

— Gdybym pisywał — powiedział Profesor Tutka — to zaniósłbym do tej redakcji opowiadania pogodne i słoneczne. Opowiem, jaki miałem kiedyś dzień.

Obudziłem się, podszedłem ku oknu, żeby zobaczyć czy ładna pogoda i na tle błękitnego niebo ujrzałem kominiarza. Dobrze, iż nie zobaczyłem pająka. Wkrótce po tym, miła staruszka-gospodyni podała mi śniadanie. Kawa pachniała, pieczywo przy łamaniu trzaskało ze świeżości, masło wyborne. W gazecie, którą przeglądałem, radosne wiadomości: nasza drużyna piłki nożnej zwyciężyła w Bukareszcie. Wesoły wyszedłem na miasto. Zobaczyłem znajomego, który z drugiej strony ulicy kiwał ręką i najwyraźniej szedł teraz ku mnie. Zdziwiłem się trochę, gdyż od pół roku, zawsze gdy mnie zobaczył, znajdywał interes po drugiej stronie ulicy. Powiedział, iż cieszy się, że mnie widzi, może mi dziś oddać swój dług i zaprosił mnie nawet do przyjemnej restauracyjki, aby przy kieliszku wina swobodnie porozmawiać. Powiedział mi, że się niedawno ożenił z uroczą kobietą, powodzi mu się dobrze, a kraj nasz, dzięki centralnemu położeniu w Europie, oczekuje wielka przyszłość. Rozstaliśmy się serdecznie, obiecując, że się znowu spotkamy. Z uczuciem przyjemnym dla znajomego, z myślami, że nigdy przedwcześnie człowieka źle sądzić nie należy, bo nie liczyłem już, żeby oddał co pożyczył — poszedłem do biblioteki. Szukając czegoś innego — natrafiłem na nieznany nikomu dokument, dowodzący, iż człowiek, który uchodzi za świętość narodową, wiódł życie rozwiązłe. Ogromnie ucieszony tym odkryciem, udałem się do miejskiego parku porozkoszować się wiosenną zielenią i tulipanami. Po alejach spacerowały zakochane pary, ptaki uwijały się na gałęziach, a po pniu drzewa, tuż koło mnie, schodziła wiewiórka. Usiadłem na ławce — po chwili miałem sąsiadkę — miłą szesnastoletnią panienkę. Zaczęliśmy rozmawiać, dowiedziałem się, że jest rodem z Sanoka, brat jej zdaje w tym roku maturę, mają domek z ogródkiem, mamie dokuczają wprawdzie bóle reumatyczne. ale jest bardzo czynna, pielęgnuje kwiaty, a w domu mają fortepian, radio i dwa kanarki. Rozmawialiśmy bardzo przyjemnie, między nami nie czuło się różnicy wieku, nie było, zda się, innej płci, rozmowa pozbawiona cienia erotyzmu, rozmowa człowieka z człowiekiem, czysta, szlachetna a pełna wdzięku. Pożegnałem panienkę, poszedłem dalej, zobaczyłem, jak pewna pani chce wepchnąć wózek z dzieckiem na znaczne wzniesienie, ale idzie jej to ciężko — więc pomogłem wjechać z wózkiem na górkę — a gdy mi dziękowała, skłoniłem się nisko i powiedziałem: „Pani, spełniłem tylko obowiązek obywatela: w tym wózku leży przyszłość nasza".

Tak mi przyjemnie było w parku, śród zieleni. śród matek, nianiek i dzieci, że pozostałem tam do wieczora. A wieczorem wytrysnęła fontanna. Najprzód szara, później puszczono reflektory i stała się srebrna, potem złota, wreszcie z boków wystrzeliła czerwień. fiolety, przybywały i gasły coraz to inne kolory, słowem — tęcza — kalejdoskop — cudo!

Ciemnymi ulicami wracałem do domu. Zadzwoniłem do swego mieszkania — nikt nie otwierał Zdziwiony — bo staruszka-gospodyni o tej porze nigdy nie opuszczała domu, zadzwoniłem po razu drugi. I znów nikt nie otwiera. Zacząłem głośno pukać — za drzwami cisza. Zaniepokojny nieco poszedłem, aby poradzić się dozorcy. Człowiek ten zdziwił się i poszliśmy teraz we dwóch, żeby się dobijać. Nikt nie odpowiadał.

Profesor Tutka, powiedziawszy to, zamyślił się i milczał. Zainteresowani słuchacze, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu opowiadania spytali: „no i co dalej?".

Profesor Tutka ocknął się z zadumy.

— Myślę o tym, powiedział, że się zagalopowałem; gdybym mówił dalej, mogło by wam to krew mrozić w żyłach. Autor opowiadania pogodnego musi pamiętać o tym, aby się w odpowiednim miejscu zatrzymać. Więc wróce do tej fontanny: Panowie! — tryskała prześlicznie.

Jerzy Szaniawski

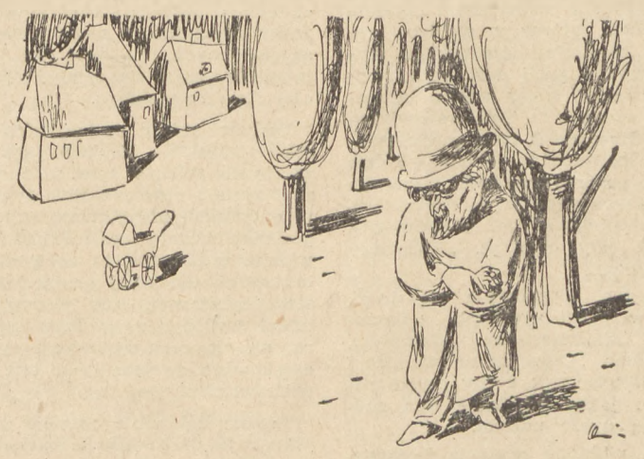

rys. Jan Lenica

„OTO JEST MIASTO ŚPIEWNE"

(Dokończenie ze strony trzeciej)

zyko, Czas przez duże „C" gra z nim w oko, wyjdzie czy nie wyjdzie, przetrwa czy przeminie, przeminie w chwałę czy we wzgardzie — nikt tego nie wie z góry. Nagle okaże się — (już się okazało!) — że „nowa rzeczowość" i „funkcjonalizm" to dziwolągi takie, jak nieprzymierzając secesja, co wtedy? Poszczególne domy, czy zespoły — ha, trudno, ale całych miast nie wolno odbudowywać w „stylu swojej epoki".

„A więc propaguje pan" — odpowiedział mi architekt T.... — „pseudo czy neogotyk plus pseudo-renesans, pseudo-barok, pseudo-klasycyzm? Znamy to już: wiktoriański, eklektyzm, mieszczańska sałatka ze stylów historycznych, musterkolekcja komiwojażera".— „O nie!" — zaprzeczam gorąco — „ale miasta należy budować w słojach historii" — i zdając sobie sprawę z beznadziejności tego frazesu, dodaję pośpiesznie: „Zresztą nie jestem architektem, nie wiem jak i co robić, wiem tylko, czego nie powinno się robić".

A przecież zrobili! Trasa W—Z jest zespołem skończenie współczesnej urbanistyki, przy tym wybornie historyczna, polsko swojska, miejscami aż sarmacka, jak ten masywny w sobie Pałac Radziwiłłów, który tkwi na środku wielkomiejskiej drogi — niemal po rejtanowsku. Wielki urbanistyczny rzut i rzemieślniczy cyzelunek detalu. Rozmach, ale bez przesady, bez fałszywego monumentalizmu, w którym lubił się przeglądać pokraczny kapitalizm schyłkowy, dobra osiemnastowieczna dbałość o formy na miarę człowieka, o szczegół, „osiemnastowieczne rozmiłowanie w ogrodnictwie i w pedagogii społecznej" („jest rzeczą niesłychanie ważną, pisze Sigalin [4]), że dano każdemu mieszkańcowi miasta w czasie jego codziennej drogi do pracy lub z pracy, względnie w czasie spacerów, możliwość doznania wrażeń plastycznych poprzez obserwowanie dobrej architektury we właściwy sposób umieszczonej w krajobrazie, harmonizującej z sylwetą miasta" — notabene, odbudowa Warszawy to wstrząsowa kuracja dla rozgoryczonych i nieufnych, którzy nie mogą już zaprzeczyć, że taka odbudowa jest możliwa tylko w tym ustroju). Ujawniła się tu warszawskość w najczystszej postaci, jaką zaledwie śmieliśmy przeczuwać. Nie podejrzewaliśmy, że posiadamy tyle pięknych zabytków, nie w rezerwacie antykwarskim, ale żywych, współgrających z otoczeniem, z dzisiejszością. Zrekonstruowano tu niejedno według starych wzorów, jak na Mariensztacie, niejedno odbudowano, odrzucając czynszowe zagracenie, uwypuklając sylwety, odsłaniając, odkrywając na nowo, jak mało komu znaną przed wojną, ukrytą „w podwórzu" szlachetną fasadę pałacu Małachowskich, z jej kutymi w żelazie balkonikami, z fryzem, trójdzielnymi pilastrami, z tym placykiem, uroczo ściętym wskos łamaną linią Roeslerów, — cała w blasku, przyjmuje na sobie i oddaje całe światło. Każdy z nas nosi w sobie wizję swego miasta — nie mam na myśli wizji miasta doskonałego, „Jeruzalem, miasto świętych", lecz miasta nie-doskonałego, doskonalonego pracą pokoleń, swojego, na pograniczu sennego marzenia i dzieła rąk ludzkich. Budowniczowie Trasy W—Z budowali na tym pograniczu.

Wszystko powstało w ciągu 22 miesięcy — czas pisania jednej powieści — w naszych oczach, a prawdę mówiąc, poza naszymi oczami. „Jak to?" dziwi się Jarosław Iwaszkiewicz [6]). „Więc to, co mnie otacza, jest tak rzeczywiste, tak utwierdzone... że nie tylko zasiana w nim trawa wzeszła, ale jest już tak bujna, że trzeba ją kosić? Czyś, bratku, nie przespał trochę tego czasu, kiedy ta trawa rosła — kiedy zakorzeniała się i kiedy szła w górę?" A cytowany już inż. J. Sygalin ironizuje w podtytule: „Kilka słów o niewykorzystanej okazji likwidacji niektórych odłogów we współczesnej literaturze polskiej [7]). „Do tego pociągu literaci już nie zdążą!" — stwierdza ze słusznym, jak słusznym sarkazmem. Brzmi to nieomal jak wyobrażenie starca Zosimy (u Dostojewskiego) o piekle: miałeś (za życia) okazję czynić dobro, okazać szlachetność i piękno, i zmarnowałeś tę okazję, nie powtórzy się już ona nigdy. Ale w Warszawie nie ma beznadziejnego „nigdy", tu będą stale okazje, ale już nie takie: „do tego pociągu nie zdążymy".

W tej chwili sam żałuję, że od miesięcy borykam się z posępnym tematem, który wydaje mi się, i jest chyba, doniosły, a przecież mogłem skoczyć w radosny żywioł Trasy W—Z, być tu razem z nimi nieodstępnie, pętać się między nimi, nie dać się odpędzić, obserwować, eksperymentować, wyłapywać szczegół po szczególe, wątek po wątku, postać w postać, wyśledzić działające siły i zamknąć to Miasto w budowie — Historię w biegu, w wielkie równanie. Zaledwie śmiem sobie wyobrazić taką powieść o Trasie W—Z, o ludzie robociarskim Warszawy, o takiej Warszawie, powstającej z gruzów — wyjątkowa to była okazja w literaturze. Wydaje mi się, że pisaćby ją można ze stanowiska zazdrośnika, który szwenda się tu i węszy, który ma „frajdę" z każdego potknięcia i błędu, którego do rozkosznego spazmu doprowadza dramat obsuwania się wzgórza Kościoła św. Anny (co za dramat— mógłby być centralnym węzłem tej powieści pod tytułem „Wzgórze św. Anny" [5]), którego w końcu zalewa radość, radość dokonania — szyllerowski hymn „An die Freude".

Już nie zdążymy do tego pociągu. Przespaliśmy, bracie, ten czas, kiedy wyrastała trawa na Trasie W—Z. I oto z miejskiego święta wracamy, każdy do swojej pracy, która przecież też ma sens i gdy się chce, staje się sprawą honoru. „Chciałbym, abyś mi się oświadczył na Trasie W—Z", mówi nagle do profesora L. ... jego żona (są 22 lata po ślubie, tyle ile miesięcy ma Trasa — cyfra 22 ciągle się jakoś tu plącze). Mąż całuje żonę na Trasie W—Z. Młodość świata.

Aleksander Wat

22—23 lipca 1949 r.

---

[4]) „Trasa W—Z dziełem Polski Ludowej" Trybuna Ludu Nr. 198.

[5]) „Trawa na Trasie", Kuźnica nr. 29.

[6]) „Trasa W—Z", tamże.

JERZY BROSZKIEWICZ

KSZTAŁT MIŁOŚCI

Cóż wiesz o pięknem? Kształtem jest miłości
Cyprian K. Norwid („Prometidion")

rysunki ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO

9)

Pani Justyna przegląda też „Wykład" Monge'a z napisem „Moribus et diligentiae..." datowany 24 Julii 1824 oraz dyplom pochwalny za ukończenie trzeciego roku Liceum z takimże napisem, i datą 24 Julii 1825... Wreszcie zamyka środkową szufladę. W lewej są sztychowane i ręką spisane kompozycje Frycka — w prawej rysunki, pamiątki, (pierwszy ząb, pierwszy pukiel...) listy od przyjaciół, sztambuch, album akwarelowy. Jakże się tym wszystkim nie wzruszyć? Nie wiele znajdziesz w Warszawie matek, które miały by prawo mówić o swych synach z taką nadzieją i dumą, jaka dźwięczy w głosie pani Justyny.

Porządki na półce z nutami są konieczne. Niczego nie znajdziesz na swoim miejscu! Pani Justyna marszczy surowo brwi z myślą o niewątpliwym sprawcy bałaganu — Izabelli. Przedmiot czułej opieki Fryderyka — „Krótka nauka poznania Harmonii czyli Generałbasu w najłatwiejszy sposób przez Karola Antoniego Simon" — wala się za półką na ziemi. W koncercie Mozarta zagięte karty. Preludia i Fugi Bacha — horrendum — pod półką! Otrzepując zielono oprawny tom z kurzu zapomina jednak pani Justyna o Izabelli. Z Bacha wysypuje się kilka kartek: zapomniane notatki, czy szkice.

Tak — na jednej stronie pokreślone takty. Na drugiej bazgroty, rysuneczki, kilkanaście razy ozdobne „Fryderyk Chopin", kilka razy żarciki: „Fryderyk C. Hopin".

Druga kartka to nie papier nutowy. Wiersz! — zaczyna się górnie: „L'amour et moi..." dwie zwrotki. Pani Justyna unosi brwi — na odwrocie rysunek, portrecik. Od razu wiadomo o kogo chodzi: fryzurka à la imperator Titus, bystre oczka, ostry nosek — panna de Moriolles. Pod portretem, nie Fryderykowym już pismem, trzy literki — romansowe: o. v. a. Czyżby to miało znaczyć: on vous aime? Zmięta kartka leci do kosza na śmiecie — wcześnie trochę na romanse, panie Fryderyku.

Trzecia kartka łagodzi jednak zazdrosne nieco oburzenie, wywołane czułym wierszem, portretem i podejrzanym szyfrem. Na arkuszu pięknego gładkiego papieru, pracowicie wyrysowana winieta, zaś wewnątrz winiety naśladujący druk, kaligraficzny napis. W pierwszej chwili można by się omylić i pomyśleć, że patrzysz na kartę tytułową jakiegoś znacznego dzieła, wydanego w wielkiej firmie edytorskiej. Pani Justyna poczyna się uśmiechać — oto napis z owej karty:

„Grande sonate en la bemol majeur— par Frederic François Chopin, premier pianiste de Sa Majeste' Roi de Pologne — Varsovie..."

Rok nie odnotowany. W którym to roku Fryderyk Franciszek Chopin, pierwszy pianista Jego Majestatu Króla Polski, wyda swą „Wielką Sonatę"?

Pani Justyna troskliwie wkłada kartki na dawne miejsce i kończy porządki. Portrecik „Moriołki" pójdzie do śmietnika, ale żadnych rozmów ani dyskusji na ów temat nie będzie. Pani Justyna postanawia, że „nie widziała" tego wszystkiego. Gdyby się wykryło, że ktoś odczytał ów napis: premier pianiste... Nie wolno tykać spraw, które Fryderyk chce skryć nawet przed okiem najbliższych — odkrywania i śledzenia ich nie wybacza nikomu. Ceni czasami swą samotność bardziej niż cudzą miłość. On — pierwszy pianista...

Kim będzie Fryderyk?

Właściwie sprawa została postanowiona. Do ukończenia Liceum Fryderykowi pozostał wprawdzie jeszcze cały rok szkolny, już teraz jednak na cichej naradzie powzięliśmy decyzję: przed tygodniem właśnie, po sobotnim wiście — na którym Elsner i Jawurek porzucili grę dla rozmowy o Fryderyku — pan Mikołaj zaprosił żonę do salonu na naradę. Kim będzie Fryderyk?

Długo wpierw mówił — jakby się tłumacząc — że jeszcze niby czas, że się nie pali... Ale: że rok, ostatni rok Liceum, zbiegnie szybko, że już teraz trzeba będzie zacząć przygotowywać syna do wyboru studiów, uzyskiwać właściwe stosunki, zapraszać czy odwiedzać właściwych profesorów. Pani Justyna słuchała niby obojętnie. Dopiero po długiej pauzie zauważyła mimochodem, że warto by także pomyśleć o studiach za granicą. Przytaknął.

Nie pamięta już dziś, co dodało jej odwagi. Odchrząknęła, by rzec po prostu — że Fryderyk wybrał już sam. Mąż milczał. Wtedy dopiero zaczęła sypać argumentami — te podsunęła jej praca — inne brylantowy pierścień i opinia salonów — tamte znów zaczerpnęła z zachwytów Elsnera, Jawurka, Brodzińskiego. Na koniec — tracąc już śmiałość wobec jego zadumy — przypomniała, że tam, w tych stolicach, do których winni wysłać Fryderyka na studia, artystów nie spotyka pogarda ani lekceważenie. Niech pan Mikołaj pyta Herve'go, Elsnera, Solivę. Mediolany, Wiednie, Paryże...

I oto okazało się, że mąż milczy nie z niechęci lecz z aprobatą. La doulce France — rozczulił się. Ów kraj jest krajem spokojnym.

Na tym rozmowa urwała się. Nazajutrz profesor rozmawiał już z Elsnerem w sprawie przyszłorocznego wpisu Fryderyka do Konserwatorium. Elsner bił się z radości po biodrach i udach, chwalił, zachwycał się, niemalże wiwatował. Pan Mikołaj jednak nie wykazywał nadmiernego entuzjazmu. Jego uśmiech zaprawiony był czy to goryczą, czy zawstydzeniem — nie wiadomo. Pani Justyna nie śmiała indagować. Wszyscy wiedzą, że żadnego z Chopinów nie wolno pytać o uczucia, które uznają za stosowne skrywać. Dlatego także nie może odkryć powodów, dla których pan Mikołaj poddał się cichej zmowie, wyborowi Żywnego i Fryderyka. Szuflady Fryderykowego sekretarzyka mieszczą w sobie wiele argumentów na ową decyzję. Czy jednak ich wadze właśnie uległy ambicja i upór profesora Mikołaja Chopin? — Gdy przed kilku miesiącami książę Antoni Radziwiłł łaskawie zalecał profesorowi takie właśnie na temat Fryderyka postanowienie, pan Mikołaj kłaniał się jak najuprzejmiej, uśmiechał i zacierał dłonie. W oczach jednak krył zimne błyski. Pierścieniem ofiarowanym Fryderykowi przez Najjaśniejszego Pana chlubił się, lecz... nie cieszył. Obejrzawszy zaś w domu kamień wpadł w pasję zgoła niezwyczajną — oto łaska, dla sztuki i szlachetność klejnotu dla muzyka! żółte, porysowane brylanciki! — krzyczał w głos. W mecenasowskie chęci księcia Namiestnika nie chciał wierzyć — żółć go bolała i w piersiach kłuło owej sejmowej wiosny.

I oto teraz sam jakby powziął decyzję. Skąd? jakim cudem i za jaką namową Opatrzności? Trudno zgadnąć.

Co prawda — pani Justyna też nie przyzna się przed nikim do myśli, które w rozmowie z mężem dodały jej bystrości i odwagi. Oczywiście: od wielu już lat należy do frakcji maestra Żywnego, Magnificencji Elsnera i Fryderyka. Słysząc o samobójstwach Trembińskich, Biesiekierskich, Hermanów — o egzekucjach nad Migurskimi i Pogonowskimi — odrzuciła wszelką myśl o fliegeladiutanckich szlifach porucznika Chopina. Teraz jednak doszło do decyzji ostatecznej. Ma być ona prezentem dla wracającego z wakacji Fryderyka — wiedzą o niej wszyscy, dowie się on — jest nieodwracalna. Zaś Bogiem a prawdą niezbyt to zachwycające, że syn spowinowaconej ze Skarbkami Krzyżanowskiej będzie płatnym muzykiem.

Trudno. Pewnych rzeczy się nie zapomina. Pani Justyna nie zapomni chyba nigdy sceny, której była świadkiem przed rokiem. Do pełnego roku brak zaledwie kilka dni. Taka sama złota jesień, przyprószone chłodną mgłą słońce, wysokie ptaki, cisza.

W domu zostało powiedziane, że pani Justyna wybiera się najętą bryczką do Grzybowa na kupno. Rzecz zwyczajna: Grzybów słynny z taniości nęcił zawsze najzaradniejsze a nie leniwe panie na śpiżarniach i piwnicach.

Nie prawda — woźnicy najętemu na Miodowej nakazano jechać za rogatki powązkowskie. Nie ta jedna bryczka. W stronę rogatek śpieszy tego rana tłum gęsty, lecz bezbarwny i cichy. Pojazdów prywatnych mało. Na błoniu za rogatkami czworobok wojska. W tłumie, przez który bryka już się nie przeciśnie wymienia się cyfry i nazwy: czwartacy, siódmy, piąty, pierwszy liniowy, saperzy, czwarty ułanów, detaszmenty gwardyi.

Pani Justyna wmieszała się w tłum. Audytor czyta wyrok: „W imieniu Najjaśniejszego Aleksandra I... Sąd Wojenny Najwyższy, w zastępstwie Sądu Sejmowego z woli Najjaśniejszego Pana..." A potem: „Co do obwinionego Waleryana Łukasińskiego..."

Lekki wiatr poniósł pierwsze uderzenie werbli ku Warszawie. I wtedy to właśnie kat główny stolicy Wolnego Królestwa Polskiego począł zdzierać szlify i łamać szpady nad głowami skazanych, zaś jego pomocnicy przebrawszy ich w więzienne zgrzebne płótna przystąpili do golenia głowy. Potem ktoś w tłumie zaczął krzyczeć zanim jeszcze dały się słyszeć pierwsze uderzenia młotów, wbijających niby w obręcze kajdan. Werble dudnią na wiatr głuszące ludzkie okrzyki i płosząc spokój ptaków. Przed frontem wojsk, pchając przed sobą katorżnicze taczki idą dźwięcznym od łańcuchów krokiem Łukasiński, Dobrogoyski i Dobrzycki.

Był to dzień 2 października roku 1824. Profesor ujrzawszy zapuchnięte oczy żony milczał. Uniósł się dopiero gniewem, gdy nazajutrz włożyła czarne suknie. Gniewu nie tłumaczył, lecz żałoby zabronił — potem jednak nagle ustąpił. Widocznie pojął, że oto nastał koniec świata pani Justyny z Krzyżanowskich Chopinowej — koniec świata jej marzeń o spokojnej przyszłości.

Gdzie można odnaleźć świat takiej przyszłości? Kraj położony nad Wisłą nie zazna jej — wiedzą o tym oboje. La doulce France? — Oboje zgodzili się ze sobą, że już teraz trzeba zacząć gromadzenie oszczędności, gdyż Fryderyk natychmiast po ukończeniu Konserwatorium powinien wyjechać na studia. Zagraniczne pisma dowodnie świadczą o wysokiej atencji, z jaką odnoszą się Mediolany i Paryże do mistrzów kunsztu muzycznego...

*

Czymże są kłopoty i bezradność sprzed pięciu lat? Śmiechu warte dziecinnady! Teraz, gdy minęło się okresy mleczarstwa i cielęctwa, próby z owych dni czasem złoszczą, czasem dziwią a najczęściej zmuszają do kpin z głupiego małca, który nazywał się Frycek, nosił koronkowe kołnierzyki, chował się za babskie spódnice, nie znał tajemnic generałbasu ani — co ważniejsze, co tysiąckroć ważniejsze — nie wiedział jeszcze nic o urodach zielonego kraju.

Świat był zawsze wymowny i muzyczny. Ale wtedy w tym świecie panował bezład równie bezładny, jak w świecie zjaw sennych. Mogłeś się nawet czegoś domyśleć, po coś sięgać — na nic takie próby. Nie wiedziałeś ani po co, ani dlaczego sięgasz.

Wszystko to jest niby bardzo ładne i dzieciństwo nam się bardzo podoba. Wzruszamy się naiwnością owych lat. Nie bije się kamienia, by nie zadać mu bólu, albo właśnie kopie się stół za to, że nas skrzywdził swym ostrym kantem. Oko za oko — siniec za siniec. Pięćdziesięcioletnie ciotule bardzo się rozczulają takimi historiami. Natomiast kilkunastoletni chłopcy nie. Kilkunastoletni Fryderyk myśląc o poczwarczym niezdarstwie dziesięcioletniego Frycka pęka ze śmiechu.

Owe „Polonaise... à son Exellence" i walczyki i „Marche militaire" i sto dwadzieścia galopad — tfu! Jakież to miało być świadectwo wymowności świata i szacunku dla mistrzów Jana Sebastiana czy Amadeusza Wolfganga?

Teraz więc, kiedy już wiemy, jakim torem potoczy się nasza przyszłość, pora na obrachunki ze sobą, z mistrzami i doświadczeniami. Drogę do muzyki Fryderyk uznaje za swą dumę i za swą nadzieję. Zawieść ich nie wolno.

Przede wszystkim cieszy to, że skończył się bezład w wymownym świecie. Wiadomo już co ważne — wiadomo, czym wolno ci się wzruszyć. Skończyła się bowiem epoka „kamienia nie bij, bo go boli". Dziś najwięcej znaczą sprawy ludzkie.

Raz na zawsze nakreślić trzeba granice pomiędzy sprytną maszynerią a prawdziwą muzyką. Jeśli muzyka jest wymowna, jak słowo i gest, to nie wolno ci jej marnować na wymyślne zabawieczki dla wystrojonych bab, co obsiadają forte lewą ręką taneczny rytm, a prawą pleść fioriturki, passaże i gamki potrafi byle durak z techniką i byle lizus. Wszystko to blaga i oszustwo — owe „freie Phantasien" na schweizerbubowe temata, walczyki na zamówienie i „pożegnalne" polonezy.

Nieraz i nie sto razy szły w Liceum z przyjaciółmi dyskusje o sztuce. Częściej bodajże niż o sprawach publicznych — wiadomo: każda ściana ma swego Mackrota. Szybko jednak pojął Fryderyk, że ani z Magnuszewskim, ani z Wojciechowskim ani tym bardziej z przemiłym tępakiem Domkiem rozgadaną głową muru nie przebije. Oni przecież nie mają zielonego pojęcia ani o muzyce, ani o kraju, ani — chyba — o sztuce. Kogo pytać o radę? — Starym obyczajem: mistrzów i żywy świat.

Zacznijmy od mistrzów. A więc nie tylko Bach, Mozart, Haydn, Hummel i księżycowy Field, których się opracowuje w domu, których się rozgryza po sto razy, nicuje, czyta nad klawiaturą i bez klawiatury.

Całe miasto nasycone jest muzyką wszelkich wielkości i jakości. Po pierwsze — wymaga tego moda, po drugie— ludzie, którzy rządzą stolicą lekceważą muzykę. Boją się słowa, zakazują czytania poezji, boją się obrazu i tragedyi. Ale muzyka? Cenzorzy nie skreślają taktów, tylko zdania. Toteż cała ochota na konsumowanie sztuki rozładowuje w stolicy Królestwa muzyka. Muzyka po domach, po kościołach, na koncertach, w operze, na balach karnawałowych i po salonach w adwenty.

Miasto niby niewielkie — niespełna 140 tysięcy mieszkańców. Ale proszę: ośm handlów nutami z Klukowskim i Brzeziną na czele, trzydzieści (a taki) fabryk instrumentów muzycznych, w każdym zamożniejszym domu pantalion, fluegelfortepiano lub co najmniej klawikord, panny na wydaniu wdzięczą się nad sprowadzonymi aż z Londynu harfami, młodzi panowie grają na flecie, waltorni, skrzypcach, eksnapoleończycy przywieźli spod Saragossy modę na gitary. W pogodne wieczory przechodząc ulicą wypada chyba zatkać uszy woskiem — z parterów i pierwszych pięter wylewają się strumyki dziesięciu tysięcy arii, melodii i pieśni — wszystko to łączy się tak cudacznie, że nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać.

Szczęściem nie tylko domorosłe partactwa cieszą lub smucą uszy mieszkańców Warszawy. Po kościołach Stradella, Cherubini, Cimarosa — w święta Wielkanocy „Requiem" Amadeusza Wolfganga, „Siedem słów" Haydna, msze Cherubiniego, nawet wspaniała „Missa Papae Marcelli" Palestriny.

Koncertów moc: soliści sławni na całą Europę — koncerty niedzielne na salach kasynowych w pałacu Sołtyka na Podwalu, poświęcone kwartetom wiedeńskich klasyków — koncerty po przedniejszych salonach, występy konserwatoryjnych elewów — oto program jesienno - zimowo - wiosennych sezonów. Warszawa opija się muzyką, jak truteń miodem.

Przed wszystkimi jednak muzycznymi gatunkami króluje opera. Korony, tarcze, dywany Kalifa z Bagdadu, chóry, pozłacane zbroje tenorów, fanfary — cała taka pompa i uroczystość sprawia, że sale zapełniają się po brzegi mniej lub więcej stroiną publicznością a ściany trzęsą się od oklasków. Spontini, Cherubini, Cimarosa — trochę zbyt poważnie, zbyt serio piszą swe wielkie dzieła. Nawet Mozart ułożył za wysokie nuty, na uszy warszawskiej society i societki. Ale Boildieu, Rossini, Winter, Weigl, na koniec zaś sam Weber — oto radość dla operomanów i melofagów stołecznych.

(Dalszy ciąg nastąpi)

MIKOŁAJ LESKOW

(Dokończenie ze strony czwartej)

Krótkie nowele Leskowa charakteryzuje oszczędność ekspresji i koncentracja materiału dokoła ciekawego wypadku, stanowiącego jakby „jądro anegdoty".

*

Leskow, przy całej odrębności talentu, ulegał oczywiście wpływom zarówno swoich poprzedników jak i współczesnych i sam wpływał na młode pokolenie pisarzy. We wczesnym okresie, w utworach z życia chłopstwa, łączył się z ogólnym nurtem demokratycznej literatury lat sześćdziesiątych (Pisiemski, N. Uspieński, Jakuszkin i inni), ukazując nie wyidealizowanych chłopków, lecz ciemną masę ludzi ze wsi, uciemiężoną i wynędzniałą. Cechował go wówczas wspólny pisarzom tej grupy — naturalizm językowy. Różnił się natomiast od nich swoją wiarą w możliwość polepszenia bytu chłopstwa na drodze biurokratycznych reform.

Znacznie większy i trwalszy wpływ na Leskowa miał Gogol. Z początku nęcił go malowniczy i jowialny humor, „Wieczorów na chutorze koło Dziekanki", naśladował wówczas raczej styl i język Gogola. Z biegiem czasu jednak wpływ ten stawał się coraz głębszy: dawał się odczuć zarówno w „mozaikowej kompozycji dużych utworów na wzór „Martwych dusz", jak i w udoskonaleniu satyrycznej maniery Leskowa, coraz bardziej i mocniej i ostrej. Zbliżało go to również do innego wielkiego satyryka rosyjskiego, Sałtykowa—Szczedrina.

Jako przenikliwy i mądry pisarz obyczajowy, spostrzegał i piętnował próżność, egoizm, chciwość, głupotę i inne wady, które dostrzegał w ówczesnej rzeczywistości; ale poza tym wszystkim starał się dojrzeć zdrowe ziarna, ukryte niekiedy bardzo głęboko. Ze szczególnym zapałem szukał ludzi, którzy w zgniłym środowisku zachowali czystość i prawość ducha i mieli dość wytrzymałości i odwagi, ażeby wbrew otoczeniu żyć zgodnie ze swą wewnętrzną prawdą. Znajdował tych „sprawiedliwych" i opowiadał ich dzieje — dzieje ludzi na pozór skromnych i szarych czasem dziwacznych, w istocie zaś górujących potęgą ducha. Ludziom tym poświęcił cały cykl pt. „Wybrańcy sprawiedliwi".

Obraz ten, niezmiernie mu drogi, ukazał w wielu utworach („Samodum", „Nieśmiertelny Gołowan", „Straszydło", „Człowiek na warcie" i inne), nadając mu cechy czysto rosyjskie i jakby wcielając weń sublimowaną duszę narodu.

Drugą ulubioną postacią Leskowa był „bohatyr" w stylu starych bylin rosyjskich, którego rozsadza nadmiar sił i pragnienie wielkich czynów; w ciele atletycznym umieszczał autor duszę dziecinnie prostą, naiwną i nieco prymitywną, lecz czułą i wierną. Ujmujący w swojej prostocie i nieświadomym heroizmie „bohatyr" ten zawsze jest głęboko przywiązany do ziemi rosyjskiej i mocno zrośnięty z ludem. Jedną z odmian tego typu widzimy w „Zaczarowanym wędrowcu".

Wreszcie, trzecim tematem, który stale interesował Leskowa, była sprawa talentów, ukrytych w głębi ludu. Znał i kochał lud rosyjski, widział bogate i wielostronne jego zdolności, wiedział, ile ma w sobie potencjalnej siły twórczej; Za caratu talenty te zazwyczaj ginęły. O tym pisał Leskow wielokrotnie, między innymi w „Cyruliku-artyście".

Temat ten stanowi sedno opowieści „O stalowej pchle", gdzie, mimo pozornie żartobliwego i nawet jarmarcznego tonu, z ogromnym tragizmem pokazany jest los niepiśmiennego pańszczyźnianego ślusarza, genialnego mistrza w swoim rzemiośle. Cudowny kunszt jego został zużyty na głupią zabawkę, a on sam zginął marnie, nie pozostawiając potomności nawet imienia. Anonimowość ta jakby utożsamia go z bezimienną masą podobnych mu, prostych ludzi z talentem i czyni zeń symbol siły twórczej ludu rosyjskiego.

Leskow należy do wielkich realistów rosyjskich. Realizm jego wyraża się nie tylko w tym, że doskonale znał życie i obyczaje Rosji i wiernie je odtwarzał, ale głównie w tym, że posiadał intuicję serc ludzkich; umiał widzieć w ludziach to, co w nich było typowe dla całej grupy lub warstwy społecznej, lecz jeszcze lepiej umiał wydobyć z każdego charakteru, na tle cech typowych, rysy indywidualne, swoiste, tylko temu człowiekowi właściwe.

Trudno dokładnie określić miejsce, jakie zajmuje Leskow w szeregu wielkich twórców klasycznej literatury rosyjskiej. Może nie osiągnął tych wyżyn, co Gogol, Lew Tołstoj, Dostojewski, Czechow lub Gorki. Ale niewątpliwe jest, że sztuka jego, wielobarwna i pełnokrwista, do dziś dnia zachowuje swoją wartość i siłę, że należy on do wielkich mistrzów słowa, których artyzm służy za wzór dla nowych pokoleń pisarzy, że czytelnik polski odczuje w pełni swoistość i urok jego twórczości.

Natalia Modzelewska

W poprzednim 33 (246) „Odrodzenia": **Leon Kruczkowski:** Niemcy.— **Roman Bratny:** Święci w battle — dresach. — **Włodzimierz Słobodnik:** Ballada o normandzkim kościele Wang w Bierutowicach. — **Izabela Czermakowa:** Film utopia i ryż.— **Jan Reychman:** Petöfi w literaturze polskiej. **Sander Petöfi:** Mój Pegaz. **Jan Śpiewak:** Wiersze Pawła Hertza. — **Jerzy Broszkiewicz:** Kształt miłości. — **Maria Rzeuska:** Sprawa „Chłopów" Reymonta. — **Adam Witold Wysocki:** Balet radziecki w Polsce. — **Georges Sadoul:** Kryzys filmu na festiwalu w Belgii. — **Leon Bukowiecki:** Dokąd idziesz — Huston — i co z tego wyniknie? — **Mariusz Margal:** Teatr w Wiedniu. — **Stanisław Marczak Oborski:** Amerykańska powódź. — Tydzień bibliograficzny. — Kramik bukinisty. — Korespondencje. — Camera Obscura. — 14 ilustracji. — 8 stron.

TEATR • TEATR • TEATR

KUMOSZKI WESOŁE ALE NIE PRAWDZIWE

Państwowy Teatr Wojska Polskiego z Łodzi „Placówka" w Warszawie. William Szekspir: „Wesołe kumoszki z Windsoru". Komedia w 3 aktach i 14 obrazach. Reżyseria: *Ryszard Ordyński*. Dekoracje i kostiumy: *Zenobiusz Strzelecki*. Muzyka: *Witold Lutosławski*. Choreografia: *Barbara Fijewska*.

„Placówka" — teatr o najciekawszym i najbardziej nieoczekiwanym repertuarze — uratowała w ostatniej chwili honor scen warszawskich, wystawiając jedynego Szekspira w bieżącym sezonie.

„Kumoszki windsorskie", pisane w końcowych latach XVI-go wieku, są dziełem dojrzałości wielkiego strattfordczyka, niemniej jednak przypominają raczej pierwsze jego komedie, niż utwory późniejsze. Mimo wad kompozycyjnych komedii, mimo wydziwiań szekspirologów nad trywialnością niektórych sytuacji — „Kumoszki" bardzo często ukazywały się na scenie; grywały je również niejednokrotnie wszystkie większe teatry polskie. Szczególne powodzenie miała sztuka wśród muzyków: wielokroć służyła jako libretto do oper komicznych. Najpopularniejsze opus: Niccolaia widzieliśmy (nie powiem — podziwiali) dwa lata temu w Operze Warszawskiej.

O dziejach teatralnych „Kobiet windsorskich" pisze wyczerpująco Stanisław Dąbrowski w 11-tym numerze „Łodzi Teatralnej", dołączonym do programu.

Istna zresztą rzecz stanowi dzisiaj przede wszystkim o naszym zainteresowaniu „Figlami kobiet" (jak się to dawniej nazywało). Jest to mianowicie jedyna komedia Szekspira, przedstawiająca realistycznie życie współczesnego mieszczaństwa angielskiego. Szekspir jest w niej chwalcą dostatniego, jowialnego, cnotliwego bez pedanterii bytowania mieszczańskiego. Przedstawiciele szlachty ukazują się w niepięknym zaiste świetle. Czymże jeśli nie zjadliwą parodią rycerskich obyczajów honoru jest scena w oberży między Falkstaffem, a jego zausznikami. Łotrzyki spod ciemnej gwiazdy: Pistol i Nym odmawiają podjęcia się misji stręczycielskiej, „woląc żyć, jak szlachcicowi przystoi". A po tym dumnym geście wracają spokojnie do swojego nocnego rzemiosła, zdradzając na dodatek dotychczasowego patrona.

Sir John Falstaff wnosi do domów niższych stanem windsorczyków jedynie zamieszanie i brudy. Jest też za każdym razem przykładnie ukarany i bezlitośnie wyśmiany przez zwycięskich mieszczan. Kim jest wszakże Falstaff? To rycerz, ale upadły; pyszny szlachcic, lecz i wydrwigrosz; w rodzinach „kumoszek" radby znaleźć nie tylko podejrzane uciechy, ale i zasobne szkatuły. Wydaje się, że teatr powinien był podkreślić, choćby w ubiorach, różnicę między zbiedniałym szlachciurą a zasobnymi łykami. Braki w sakiewce okupuje sir John tytułem i pozycją społeczną. Po wszystkich łajdactwach zostaje jednak zaproszony z honorami na ucztę weselną do domu Page'ów. Wydobycie tych antynomii przez teatr wzbogaciłoby przedstawienie i to w komizm najzupełniej realistyczny.

Ambitny reżyser mógłby się pokusić o rewizjonizm w stosunku do jednego jeszcze zagadnienia. Na najniższym szczeblu społecznym stają windsorscy sługdzy. Wczorajsza tradycja przyzwyczaiła nas do oglądania ich w postaci notorycznych matołów. Nazwisko służącego Chudka — Simple tłumaczy Ulrich po prostu per-Gluptak. W przekładzie Gogolewskiej spotykamy już — Prostaczka. A tekst poety bynajmniej nie drwi z prostaczków. Przeciwnie — to oni kpią sobie wyraźnie ze słabości swoich panów. Przypomnijmy ich rozmowę z Panią Chybką czy Falstaffem, albo scenę 1, aktu I-go, gdy Chudek zdjęty strachem wzywa panicznie Simple'a na ratunek. W ujęciu takim tkwią znowu momenty komizmu scenicznego nie wydobyte dotychczas.

Przedstawienie w „Placówce" reżyserowane przez *Ryszarda Ordyńskiego* nie pokusiło się o nowe spojrzenie na „Kumoszki". Ambicją jego było wydobycie maksimum humoru środkami raczej farsowymi, czy groteskowymi.

Jeśli nie będziemy wypominać pewnych dłużyzn, to przyznać trzeba, że cel został osiągnięty. Nie była to „celebracja klasyka", lecz zabawa przy użyciu wszelkich chwytów, wstawek sytuacyjnych przed kurtyną, szarży aktorskiej (w szlachetniejszym znaczeniu tego słowa), pantominy tanecznej. Nawet muzyka nie pogardziła groteskowymi efektami, ilustrując dźwięki, wydawane podczas wypróżniania dzbana przez Sir Johna.

Aktorsko rzecz grana była, jak to się mówi, zespołowo. Falstaff niestety ginął w tłumie postaci. A grał go *Stanisław Łapiński*, najbardziej szekspirowski komik (rola Stefana w „Burzy") na festiwalu sprzed dwu lat. Tym razem niestety prawie w zupełności zawiódł. Miał wiele bardzo zabawnych momentów, ale grał często nie Falstaffa, a... Łapińskiego. Sir John w jego interpretacji nie miał właściwego wymiaru; ani przez chwilę nie czuliśmy na scenie największej postaci komicznej literatury świata.

Władysław Grabowski w roli lekarza francuskiego, brawurowo szarżował, balansując na granicy między zmęczeniem widza i dobrym tonem komediowym; zbierał zresztą wiele braw. Warto przypomnieć, że jest to już trzecia z kolei rola (po Fentonie w roku 1906 i Chudziaku w 1916) tego aktora w omawianej sztuce. Paniom: Ford i Page brakło soczystości i charakterystyczności kumoszek. *Niczewska* była nieoczekiwanie pełną finezji damą dworską, a *Życzkowska* — zalotną, trzpiotowatą amantką (szczególnie w I-szym akcie). *Tadeusz Woźniak* (Page) dał interesującą postać dobrodusznego, wspaniale opanowanego Anglika. To już chyba nawet nie zwyczajny szlachcic. A jeśli mieszczanin to już raczej z epoki rotschildowskiej, niż elżbietańskiej. Na koniec wymieńmy kogoś bez zastrzeżeń: a więc — *Lech Ordon* (karykatura proboszcza walijskiego), *Janina Macherska* (pełna temperamentu pani Chybka), *Kazimierz Dejunowicz* (wydobywający wszystkie śmieszności Chudka).

Reżyser zmieścił sztukę w trzech aktach, wykreślając parę scen luźniej związanych z akcją (lekcja łaciny małego Wilhelma Page, strapienie oberżysty). Do udałych momentów należała scena pojedynku, wypełniona po brzegi nieskomplikowanym, ale autentycznym komizmem; — do nieudałych: finał komedii przypominający więcej „barwne przedstawienie dziecięce", niż feerię teatralną.

Dekorator (*Zenobiusz Strzelecki*) ustawił panoramę architektury windsorskiej, klockowatą, a przy tym dostojną, zabawnie statyczną. Pomysłowo rozwiązane zakończenia scen przed kurtyną pozwalały na szybkie zmiany wnętrz na przodzie sceny — nie zapominajmy bowiem, że komedia ma kilkanaście obrazów. Szkoda tylko, że spokojnie komponowane kostiumy nie grały kolorystycznie na matowym tle dekoracji.

„Wesołe Kumoszki z Windsoru" pojawiły się w nowym tłumaczeniu *Krystyny Berwińskiej-Gogolewskiej*. Zdobywamy więc zwolna repertuar współczesnych przekładów szekspirowskich („Hamleta" dał Iwaszkiewicz, „Jak wam się podoba" — Polewka, a potem Miłosz). Dobrze słucha się „Kumoszek" bez męczących kalamburów i zawikłań stylistycznych dawnych tłumaczy.

Falstaff w przekładzie Gogolewskiej powiada: „niech mi wyjmą mózg, posmarują masłem i sprezentują psu na gwiazdkę". Albo w kłótni z Pistolem: „ja sam czasem muszę zostawić bojaźń bożą na boku, a honor ukryć w faldach konieczności".

Stanisław Marczak - Oborski

Janina Macherska (Pani Chybka) i Stanisław Łapiński (Falstaff)

Maciej Maciejewski (Fenton) i Halina Pilling (Anna Page)

STANISŁAW GOGŁUSKA

KRONIKA FRANCUSKA

FAŁSZOWANY RIMBAUD

Krótka lecz bardzo hałaśliwa historia ostatniego falsyfikatu literackiego jest już w tej chwili wyjaśniona i zamknięta. Zaczęło się od tego, że literacki dodatek dziennika „Combat" z 19 maja poświęcony został w całości nieznanemu dotąd utworowi Rimbauda — „La Chasse spirituelle". O jego istnieniu wspominał po raz pierwszy przyjaciel i biograf Verlaine'a, Lapelletier. Utwór ten miał pochodzić z roku 1872 i znajdował się pierwotnie w posiadaniu Verlaine'a. Kiedy poeta ten rozstawał się z rodziną, zostawił go wraz z innymi papierami u teściów i mimo wielokrotnych interwencji nigdy go już nie odzyskał. Kometatorzy Rimbauda uważają ten utwór za zaginiony.

Przed kilkunastu tygodniami wydawnictwo „Mercure de France" opublikowało „La Chase spirituelle", rzekomo odnaleziony. Wstęp do niego napisał pierwszy wydawca dzieł wszystkich Rimbauda, Pascal Pia; jego autorytet miał być gwarancją autentyczności odnalezionego rękopisu.

Pojawienie się nowego tomu Rimbauda stało się w sezonie letnim, ubogim w wydarzenia literackie, sensacją niełada. Ale już nazajutrz oryginalność tego utworu została zakwestionowana przez wodza surrealistów, Bretona. Wokoło publikacji rozegrała się ostra batalia. „Combat", to znaczy Maurice Nadeau, historyk surrealizmu i redaktor literacki tego dziennika, oraz Pia bronili z uporem swoich, jak się wkrótce okazało, straconych pozycji. Pia utrzymywał nawet, że przed kilkunastu laty widział oryginalny rękopis tego utworu i doskonale go sobie przypomina. Równocześnie twierdził, że nie może wyjawić, kto mu dostarczył kopii autografu, jest bowiem związany tajemnicą.

Ale tajemnica przestała obowiązywać, gdy ujawnili się autorzy tego zręcznego pastiche'u. Byli to: pani Akakia-Viala, bibliotekarka w instytucie wyższych studiów kinemagraficznych, i Nicolas Bataille, którzy w ramach zeszłorocznego konkursu młodych trup teatralnych przenieśli „Sezon w piekle" na scenę. Niechętne przyjęcie tej próby przez krytyków, którzy zarzucali reżyserom nieznajmość ducha poezji Rimbauda, zrodziła w tych ostatnich chęć rehabilitacji. Zredagowany wspólnie pastiche, miał udowodnić, że znają oni i rozumieją Rimbauda. Autorzy powierzyli falsyfikat „La Chasse spirituelle" paryskiemu księgarzowi Billotowi. Rękopis wkrótce przewędrował w sekrecie do „Mercure de France", i został od razu rzucony na rynek w wydaniu półluksusowym. Burzliwa dyskusja w czasopismach i w radio stanowiła dla tej publikacji doskonałą reklamę, nic więc dziwnego, że 3.310 egzemplarzy numerowanych rozeszło się niemal natychmiast.

W całej tej historii uderza lekkomyślność wydawcy i komentatora, lekkomyślność zadziwiająca. W ostatecznym wyniku nie przyniosła ona zresztą wydawcy spodziewanego benefisu, czysty bowiem dochód z konieczności został przekazany muzeum Rimbauda w Charleville.

PRAWDA O RIMBAUD

Podczas gdy w kołach literackich dyskutowano zaciekle o „aferze Rimbauda", młody uczony francuski, Bouillane de Lacoste, przedstawiał na Sorbonie tezę doktorską „Rimbaud i problem iluminacji", która modyfikuje w sposób zasadniczy naszą wiedzę o tym poecie. Lacoste przeprowadza w niej dowód, że „Iluminacje" nie pochodzą z roku 1872, jak mniemano dotychczas, lecz powstały dopiero w latach 1874/75, są więc późniejsze od „Sezonu w piekle".

Wypada dodać, że już Verlaine podał właściwą chronologię utworów Rimbauda, jednakże znawcy twórczości tego poety nie dawali wiary twierdzeniom Verlaine'a, przekonani, że chce on w ten sposób zwalić z siebie odpowiedzialność za to, że Rimbaud zerwał radykalnie z literaturą. Argumenty, jakie obecnie wysuwa Bouillane de Lacoste, w pierwszym zaś rzędzie dokładna i skrupulatna analiza rękopisów Rimbauda, jak również adnotacji poczynionych na ich marginesie, wyjaśniają sprawę całkowicie.

Drobna, zdawałoby się, poprawka chronologiczna zmienia zupełnie nasze sądy o Rimbaudzie i ukazuje nową jego sylwetkę. Legenda przekazała nam obraz poety, który w momencie szału spalił całe wydanie „Sezonu w piekle" i zerwał całkowicie z literaturą. Legenda ta została po raz pierwszy poddana rewizji i solidnie podważona wówczas gdy w Brukseli odnaleziono całkowite niemal wydanie „Sezonu w piekle" (z 500 egzemplarzy brakło jedynie kilku). Nowe studium francuskiego uczonego obala ją stawiając postać tego poety w całkowicie nowym świetle. Dziś widzimy, że poeta radykalnie odsuwał się od twórczości literackiej stopniowo. Porzuciwszy poezję w roku 1872, przeszedł do poematu prozą i formę tę — jak świadczą o tym „Iluminacje" — uprawiał do roku 1875.

Warto jeszcze dorzucić, że legendę o radykalnym zerwaniu Rimbauda z literaturą odrzuca również Pierre Debray w niedawno wydanej książce „Rimbaud, le magicien désabusé" (Juillard), zaś Tristan Tzara we wstępie do „Dzieł wszystkich" Rimbauda, opublikowanych w tym roku w Lozannie pisze: „Jakież może mieć znaczenie ten rozbrat z poezją, skoro życie poetyckie, które jest ciągłą przygodą, rozwija się u tego twórcy nadal pod nowymi aspektami. Samemu Rimbaudowi chodziło tylko o to, ażeby poprzez treść życia wchłaniającego poetę w swój wir, różnorakiego i niepodzielnego, wyrazić swoją osobowość, nie troszcząc się o to, co zostawiał za sobą..."

PRZEDWAKACYJNE NAGRODY LITERACKIE

Ostatnie nagrody literackie rozdzielono w tygodniach poprzedzających wakacje. Ze względów komercjalnych zapewne, mnożą się w tym letnim sezonie nagrody w dziedzinie powieści kryminalnej i awanturniczej. Obok nich jednakże przyznano w okresie przedwakacyjnym kilka nagród, które mają swoje poważne tradycje i znaczenie.

Najgłośniejsza z nich chyba to nagroda krytyków, ufundowana po wojnie z myślą o młodych talentach, które nie zdołały jeszcze dotrzeć do szerszej publiczności literackiej. W tym roku laureatem krytyków został *Jules Supervielle*. Wydany w tym roku zbiorek jego poezji nosi tytuł „Oubliеuse memoire" (wyd. Gallimard). Jak widzimy, krytycy przenieśli wartości dawno uznane ponad nowatorstwo. Charakterystyczne jest również, że od dwóch lat nie nagradzają oni powieści. W roku ubiegłym wyróżnili essay, w bieżącym poezję. Czy to jeszcze jeden dowód na to, że romans francuski przechodzi długotrwały kryzys?

Długą tradycję ma nagroda Akademii Francuskiej, którą w tym roku otrzymał Maurice Levaillant, wydawca i komentator Chateaubrianda. Ponieważ w roku 1948 Akademia nagrody powieściowej nikomu nie przyznała, jury rozporządzało dwiema nagrodami, które potrakowano oddzielnie. Laureatem za rok ubiegły został *Yves Gandon*, w ten sposób uczczono pięćdziesiątą rocznicę jego urodzin. Ten poeta, mistrz pastiche'u i krytyk (nagroda krytyki w roku 1938) wydał ostatnio powieść „Ginèvre" (Edit. Henri Lefebre). Wchodzi ona w skład zamierzonego cyklu powieści o kobietach, historii miłosnych skoncentrowanych wokoło portretów kobiecych, poprzez które autor odtwarza przeszłość francuską i usiłuje dotrzeć do stylu, a nawet do języka epoki. Tak „Ginèvre" przenosi nas w wiek XIII i ukazuje epokę ostatnich wypraw krzyżowych, a poprzedzające ją powieści „Zulmé" i „Amanda" malują romantyzm i epokę drugiego cesarstwa. Gandon zapowiada jeszcze „Olympę" i „Sylwanie", które ukażą czytelnikowi wiek XVII i XVIII.

Tegoroczną nagrodę powieściową Akademia Francuska przyznała pisarce *Yacenne Pagnez*, której twórczość powojenna należy w całości do tzw. literatury obozowej. Powieściopisarka ta brała bardzo żywy udział w ruchu oporu na terenie Francji północnej. Aresztowana przez Niemców na kilka dni przed inwazją aliantów, zdążyła jeszcze przejść przez Ravensbrück. Przeżycia swoje opowiedziała w książce „Scènes de la vie du bagne" (Sceny z życia więźnia). Dalszym ciągiem tego utworu obozowego jest właśnie nagrodzona „Evasion 44" (wyd. Flammarion), dzieje ucieczki z obozu, która wiedzie pisarkę i jej towarzyszkę niedoli, Szwajcarkę, poprzez dotknięty nalotami aliandkimi Berlin do Konstancji, gdzie w momencie przekraczania granicy szwajcarskiej raz jeszcze dostają się w ręce Gestapo. Większy bodajże rozgłos niż nagroda Akademii zyskał książce fakt, że towarzyszka ucieczki Yvonne Pagniez, niezadowolona ze swego literackiego portretu, zapowiada wytoczenie procesu powieściopisarce francuskiej.

O poczytności literatury obozowej we Francji świadczy jeszcze i to, że inny utwór o obozach koncentracyjnych „Rodzaj ludzki" *Roberta Antelma* został wyróżniony nagrodą „Côté d'amour", ufundowaną w roku ubiegłym przez kilka dam z paryskiego świata literatury i sztuki.

Nagrodę ambasadorów otrzymał w tym roku laureat Renaudot 1945, *Henri Bosco* za powieść „Malicroix" (wyd. Neo).

Najnowszą, bo ufundowaną dopiero w tym roku „nagrodą prasy łacińskiej Europy i Ameryki" (200 tysięcy fr.) odznaczono powieść-reportaż *Hervé Bazina* o zakładach dla umysłowo chorych „La Tête contre les murs" („Głową o ścianę"). Pisarz ten jest bardzo modny. W roku ubiegłym debiutował powieścią o nienawiści synowskiej — „Vipère au poing", która przyniosła mu nagrodę czytelników „La Gazette des Lettres". „La Tête contre les murs", poświęcona pamięci poety Antonina Artaud, zmarłego w zeszłym roku w zakładzie dla obłąkanych, jest drugą z kolei powieścią młodego pisarza.

Na koniec wypada wspomnieć o nagrodzie „dziewięciu". Nie dlatego może, że jury obraduje w znanych miejscowościach letniskowych (w roku ub. Biarritz, w r. b. w Deauville), ale dlatego, że zbuntowało się ono przeciw wydawcy-mecenasowi, który usiłował wpłynąć na jego decyzję. Wygrał na tym laureat, nowy bowiem mecenas podwyższył nagrodę z 50 do 100 tysięcy fr. Laureatem jest *Pierre Frédérix*, który u Gallimarda wydał romans „On ne vit qu'une fois" („Żyje się tylko raz").

Dwie ostatnie powieści najlepiej charakteryzują następujące zdania krytyka „Les Lettres Françaises", André Wurmsera, wyjęte z recenzji pod tytułem „Literatura mieszczańska nie jest mitem propagandowym": „Te książki nie są zestawione razem bez powodu. Jedna i druga dzieje się niemal poza czasem; jedna jest poza światem, druga na powierzchni świata".

Stanisław Gogłuska

DUCH POETYCKI W MUZEUM NARODOWYM

(*Dokończenie ze strony drugiej*)

znajdujący się w tej sali duży portret rektora Malewskiego, malował Damel, wiszący zaś na przeciwległej kotarze portrecik Mickiewicza— Wańkowicz.

Pewne uwagi nasuwają się również i w sali z napisem: **„Tuhanowicze - Maryla".** Obok wspomnianej już wyżej miniatury Maryli, mamy tu podobiznę Damela z objaśnieniem, że to on ją malował. Tymczasem dziś istnieją co do tego poważne wątpliwości. Nie udało mi się już sprawdzić, czy w zbiorach muzeum, w murach którego mieści się wystawa, zachowała się inna miniatura Maryli, znajdująca się tam przed wojną a malowana przez Tyslewicza (Niewiarowicza), mam jednak wrażenie iż raczej nie pamiętano o jej istnieniu. I choć miniatura ta w mniejszym jeszcze niż poprzednia stopniu daje wyobrażenie o rzeczywistym wyglądzie zewnętrznym ukochanej Mickiewicza, to przecież, jako autentyk mający oparcie we „Wspomnieniach" Niewiarowicza, byłaby tu bardziej uzasadniona, niż cały szereg pokazanych tu, całkowicie dowolnych „przeróbek" obu tych miniatur.

W sąsiedztwie ładnych, kolorowych wizerunków tuhanowickiego domu mieszkalnego, tzw. „murowanki", kaplicy i pamiątkowej brzozy, umieszczono zdjęcie wspomnianego już Boretti'ego mającego wyobrażać „pałac" w Tuhanowiczach, różny jednak całkowicie od powyższego „domu mieszkalnego". Widz jest zdezorientowany: wie on, że w murowance mieszkał Mickiewicz, pamięta słowa czwartej części „Dziadów": „Z pałaców, sterczących dumnie..." Ale cóż tu robi w takim razie ów „dom mieszkalny" i gdzież mieścił się w rzeczywistości pokoik Maryli? Tymczasem ten rzekomy „pałac", to wcale nie pałac, tylko oranżeria, znacznie przy tym późniejszego pochodzenia (wg. projektu E. Pawłowicza)! Inny napis zapewnia, że mamy przed sobą brzozę, zasadzoną przez Mickiewicza. Jest to równie wątpliwej wartości legenda, jak i wiele innych.

Na wyróżnienie zasługują w tej sali: piękny widok okolic Kowna, malowany przez Jametta, ciekawe wizerunki poszczególnych fragmentów tegoż miasta oraz bogaty dział podobizn, autografów, młodzieńczych utworów poety. Oglądając je, zebrane tu w takiej ilości mimo woli myśli się o wykorzystaniu tej okazji do sporządzenia i wydania wreszcie tylekroć razy projektowanego „Albumu autografów" poety.

Świeże reprezentowana jest na tak bogatej wystawie, jednym jedynym zdjęciem, nie dającym zupełnie pojęcia o pięknie i o uroku tego jeziora. A przecież istnieje tyle innych jego zdjęć (np. Bułhaka, Wisłockiego itd.)! Nie pokazano również, jak wyglądał dwór w Pużynach gdzie Mickiewicz bawił m. i. w sierpniu 1821 r. wraz z Wereszczakami i z Marylą, i gdzie napisał „Świteziankę", a prawdopodobnie— i „Świteź".

Identyczny stan rzeczy mamy i w pozostałych działach wystawy. Obok wzorowych czy pomysłowych fragmentów jak na przykład gablota poświęcona wileńskiej „Komisji śledczej", obok wielu bardzo ciekawych, a niejednokrotnie i specjalistom mickiewiczologom nie znanych eksponatów, mamy nieraz błędne informacje, rzeczy niewłaściwie umieszczone itp. Jaszuny są tu wymienione jako „miejsce wycieczkowe Filaretów", Bartniki — jako „miejsce zbioru Filaretów a Dołmatowszyzna (Domejków) — jako „główne" miejsce ich zbioru. Wszystko to — informacje, zaczerpnięte z tegoż niepoważnego albumu Borettiego, z którego zdjęcia: okolicy zwanej Soplice i, dowolnie zupełnie w zaścianku Dołmatowszczyźnie wybranego obejścia, objaśniono — po tylu latach i po tylu na ten temat krytycznych uwagach — w dawnym ich, nietkniętym przez korektorską myśl stanie, wśród mieszczowości, wspomnianych w „Panu Tadeuszu".

Z innych tego rodzaju informacji dowiadujemy się, że Mickiewicz, w majątku ks. Wiaziemskiego, Ostafiewie pod Moskwą, spędził lato 1827 r." (jakkolwiek wiadomo, że poeta nasz, choć bywał w Ostafiewie, ale lato owe spędził w Moskwie, gdzie bawili wówczas właśnie państwo Benswenturostwo Zalescy), że A. Skalkowskiego i malarza K. Briułowa poznał on w Petersburgu (w rzeczywistości; pierwszego — w Moskwie, drugiego zaś — dopiero we Włoszech), że narzeczona Chodźki, dla której Mickiewicz napisał znany sztambuchowy wiersz „Nieznajomej, dalekiej itd.", miała na imię Aniela zamiast Ludwika), że Al. Humboldt był „wielkim przyjacielem" Tomasza Zana (!) że nie jeden lecz kilka sonetów „krymskich" Mirza Dżafar przetłumaczył na język perski, że poeta pisał „Pana Tadeusza" tylko w jednym ze swych paryskich mieszkań (w „Hôtel de France") itd. Wreszcie, popełniono stały błąd, informując, że na znanym obrazku, Mickiewicz gra w szachy z „posłem rosyjskim, ks. Gagarynem". Nie jest to Gagaryn ale „rudy" ks. Aleksander Golicyn, żonaty z pierwszą żoną A. Chodkiewicza, Karoliną z Walewskich, właściciel albumu gdzie obok rysunków K. Briułowa, figuruje znany czterowiersz Mickiewicza, mylnie również, zgodnie z tradycją odniesiony do innego adresata: moskiewskiego zwierzchnika poety.

Razi w końcu, stałe niemal nazywanie autografów „rękopisami". Jest to rusycyzm (rukopis). Po polsku mówi się w danym wypadku... „autograf".

Te wszystkie, drobne lecz stosunkowo dość liczne niedociągnięcia, od których nie jest również wolny i sprzedawany przy wejściu „Przewodnik po wystawie jubileuszowej" całkiem niepotrzebnie psują korzystne wrażenie całości, jako niewątpliwie niezmiernie pouczającej i pożytecznej imprezy. Niepodobna jednak całej winy za nie zwalać na organizatorów i na realizatorów wystawy. Znaczną część winy ponosi tu — jak to stale usiłuję podkreślać — wysoce, mimo wszystko, niedostateczny stan naszej wiedzy o największym naszym poecie. W warunkach panującego tu zachwaszczenia, w atmosferze kultywowania legend i plotek oraz przy całkowitym niemal braku stosowanych opracowań, trudno jest orientować się w tej mieszaninie prawdy i fantazjowania nawet ludziom w znacznym stopniu obeznanym z życiem i z twórczością Mickiewicza, nawet — przy najlepszej z ich strony woli.

I dlatego poczynione tu uwagi należy traktować jako alarm na rzecz jak najśpieszniejszego podjęcia i na tym odcinku rzetelnej i planowej pracy, a przede wszystkim — traktować je jako dalszy ciąg sprostowań, częściowo poczynionych już ustnie, a mających na celu wyłącznie dobro samej sprawy: ustalenie prawdy.

Myślę, że dla tego właśnie dobra warto, póki jeszcze wystawa jest otwarta i zwiedzana, wymienione braki usunąć.

*

W przeciwieństwie do omówionej wyżej „Wystawy Mickiewiczowskiej", mieszcząca się w jednej średniej wielkości sali „Wystawa Puszkinowska" robi — **jako wystawa** — stosunkowo korzystniejsze wrażenie: jest w znacznym stopniu bardziej zwarta i jednolita, i co do treści napisów objaśniających, nie nastręcza niemal żadnych uwag. Jedynie Łukasiński figuruje tu, jako organizator „Towarzystwa Patriotów Polskich" (zamiast „Patriotycznego"), a datę rozpoczęcia pisania „Eugeniuszą Oniegina", przez zaznaczenie, iż miało ono miejsce w Odessie, przesunięto z roku 1822 na 1823. Zbyt skromnie, bo tylko podobiznami Rylejewa i Küchelbekiera, reprezentowani są tu dekabryści.

Oczywiście, realizatorzy tej, skromnej rozmiarami wystawy, już przez to samo mieli znacznie łatwiejsze zadanie niż ich, sąsiadujący z nimi koledzy. Ograniczenie się do ram jednej sali pozwoliło na zastosowanie pomysłowej kompozycji: spięcie całości, niby klamrą, przy pomocy umieszczonej w centrum nastrojowej dekoracji — popiersia poety na wysokim postumencie i kilku, rzuconych u jego stóp na kotarę, tomów „akademickiego" wydania jego pism. Poza tym mieli oni w ręku jeden wielki atut: imponujący rozmiarami nasz dorobek, w zakresie przetłumaczonych na język polski dzieł Puszkina oraz poświęconej mu literatury specjalnej.

Leonard Podhorski - Okołów

Mimochodem

ZIELEŃ

Jedną z najszybciej i najpiękniej odbudowujących się dzielnic Warszawy jest Mokotów. Na wiosnę, latem i jesienią rozkwita bujnie Aleja Niepodległości, daleką perspektywą uwodzi Rakowiecka, szumiące drzewa ulicy Narbutta koją myśli i serce. Od placu Unii Lubelskiej zaczyna się królestwo zieleni.

Dlatego z pewnym niepokojem przeczytałem uchwałę Dzielnicowej Rady Narodowej Warszawa - Południe, w sprawie niedostatecznej opieki nad parkami, zieleńcami i trawnikami. Do niedawna Warszawa była jednym z tych miast, gdzie zieleń zajmowała stosunkowo najmniejszą przestrzeń. Nie mieliśmy parku, którego znaczenie porównać można z ogrodami innych stolic europejskich. Niewielki Park Saski, nierozległy Ujazdowski, Paderewskiego czy Traugutta były zbyt skromnym rezerwuarem powietrza i zieleni dla ciasno stłoczonej Warszawy. Całe ulice, całe kompleksy, pozbawione były jednego drzewka, kępy zieleni, skweru. Górował pod tym względem nad stolicą Poznań, jeszcze bardziej — zakochany w Plantach i Błoniach — Kraków.

Śmiano się z krakowskich radnych miejskich, którzy podobno postanowili uratować przed zagładą Wieżę Floriańską, by uniknąć zbyt gwałtownego przeciągu na Rynku. Trzeba jednak przyznać władzom miejskim XIX wieku, że umiały stworzyć obramowanie zieleni opalizujących starodownością zabytków. Straszewskiemu zawdzięczamy Planty, a wiosną patrząc ze wzgórza wawelskiego można doznać upajającej radości na widok kwitnących drzew podzamkowych. Gdy w XX stuleciu zniwelowano nasyp kolei zakopiańskiej, pomyślano natychmiast o tym, by założyć tu rodzaj plantacji zewnętrznych. Trzy nowe parki — Jordana, Krakowski i Wolski, nie licząc połączonych z Podgórzem, Krzemionek, wzbogaciły zasoby miasta. Co prawda rozparcelowano równocześnie ze względów spekulacyjnych, pamiętający jeszcze XVIII stulecie Ogród Wodzickich nie szczędząc nawet dworku, upamiętnionego insurekcyjnym pobytem Kościuszki. W okresie dwudziestolecia uszczuplono również naturalny, historycznie się rozwijający wielki zieleniec Krakowa: Błonia. Poprowadzono tu arterię nowej ulicy, psując perspektywę wznoszącego się jakby w powietrzu Kopca Kościuszki i Salwatora. Wyspiański, gdyby dożył tej epoki nie mógłby już malować dalekiej perspektywy Sikornika z okien swego mieszkania przy ul. Krowoderskiej. Ale prawdę mówiąc — autor „Wesela" nie był zadowolony nawet z Krakowa ówczesnego. Przecież powiedział o mieście rodzinnym: „Kraków trzeba zamknąć, klucze oddać dyrektorowi Muzeum Narodowego, Koperze — i wybudować nowy gród w okolicy Zakopanego..."

Warszawa ,która się buduje, piękna i śmiało pomyślana Warszawa przyszłości, będzie — wierzę w to głęboko — miastem tonącym w zieleni. Stwierdzono statystycznie, że rosnąca ilość parków i skwerów w miastach nowoczesnych zmniejsza, na równi z estetyką mieszkań, ilość zbrodni, bijatyk, awantur. Zieleń miejska nie jest tylko sprawą higieny i piękna, ale także — klimatu duchowego i uspołecznienia. Zanim spełnią się śmiałe marzenia o uprzemysłowionej i zelektryfikowanej wsi, gdzie każdy obywatel będzie mieszkał w domu, otoczonym ogrodem, trzeba myśleć o jak najbardziej hojnym wyposażeniu miast współczesnych w o zasady żywej zieleni. Jakże mnożą radość warszawiaków skwery i trawniki Trasy W — Z. (Gdy patrzę na Trasę myślę o pięknych słowach Marii Dąbrowskiej z roku 1946: „Warszawa nie jest miastem martwym, tylko trudnym"). O ileż większa będzie ich radość, gdy wśród zieleni ukażą się szpalery drzew, wznoszących coraz wyżej swe gałęzie! Tymi drzewami trzeba koniecznie też „zaludnić" dzielnice inne, dotychczas słabo zaopatrzone w zieleń.

„Express Wieczorny" zaalarmował nas przed kilku dniami, że drzewa i zarośla osiedli podwarszawskich padają pod razami niepowołanych druwali. Krajobraz mazowiecki ma w sobie trudną poezję, którą wypowiedział w kilku ciągle brzmiących mi w uszach wierszach—Władysław Broniewski. Drzewa są najistotniejszym składnikiem tego uroku. Drzewa otwockie, radzymińskie, Świdra i Zegrzynka zasługują na pomoc i ratunek.

I jest coś nowego w tym, że sprawą zieleni zajmują się dziś nie tylko specjaliści. Ślepe smutne ściany, sąsiadujące z miejscami znikających ruin chcemy upiększyć dzikim winem czy bluszczem jak gospodarze nowego własnego domu.

W. N.

KORESPONDENCJA

„Doświadczone lekarstwo" na zabobon i ciemnotę

Do Redaktora „Odrodzenia"

Na marginesie głośnej sprawy a raczej afery lubelskiej warto zauważyć, że podobne zjawiska zbiorowej psychozy i fanatyzmu religijnego tłumów były na przestrzeni wieków troskliwie kultywowane przez zacofany kler i duchowieństwo zakonne w Polsce. Na skutek odpowiednich praktyk kleru i bezczynności społeczno-kulturalnej tzw. warstw oświeconych a przede wszystkim szlachty, zabobon, ciemnota i zacofanie utrzymywały się na ziemiach polskich aż do rozbiorów, do czasów, które gdzie indziej zyskały nazwę oświecenia i postępu...

Doszło do tego, że po pierwszym rozbiorze Polski przedstawiciel arcykatolickiego rządu austriackiego Gubernator Galicji hr. Pergen w swym sprawozdaniu dla rządu wiedeńskiego o stosunkach kościelnych w Galicji stwierdził bez ogródek, że kler galicyjski przez swoje naiwne kazania i przypowieści przyczynia się w najwyższym stopniu do ciemnoty ludu. Szczególnie ostrej krytyce poddał przy tym działalność licznych zakonów, przy których „...umieszcza się ze dwudziestu żebrzących leniwych mnichów, którzy wymyślają pobożne sztuczki, aby wycisnąć ostatni grosz i ostatni kawałek chleba z rzemieślnika lub robotnika. **Nie ma klasztoru bez cudownego obrazu...**" (cytuję za Putkiem: „Mroki średniowiecza").

Trafny raport hr. Pergena znajduje pełne potwierdzenie w przekazanej nam przez Kolberga („Lud...", Seria VII, Krakowskie część III, strona 54) niezwykle ciekawej relacji obiektywnego obserwatora ówczesnych stosunków hr. St. Wodzickiego, opublikowanej również na łamach krakowskiego „Czasu" (nr. 68 z 1873 roku).

Otóż ten wcale nie wolnomyślny a jedynie umiarkowanie postępowy senator R.P. w swoich interesujących pod każdym względem „Wspomnieniach z przeszłości" pisze m. i. co następuje: „...Patrzałem na to w latach moich dziecinnych (około roku 1770), kiedy nie było miasta i wsi kościelnej bez kilku przynajmniej opętanych lub nawiedzonych, których egzorcyzmowało najczęściej zakonne duchowieństwo, mianowicie w Krakowie i Częstochowie. **Pielgrzymy obojej płci odprawiali kupami po całym kraju wędrówki do miejsc cudami słynących;** a hojne jałmużny podsycały ich próżniactwo tak dalece, że być opętanym lub pielgrzymem zamieniło się w zyskowne rzemiosło i rzadko też kościół był jaki, zwłaszcza u zakonników, żeby przy Podniesieniu podczas mszy św. nie słyszano okropnych ryków ludzi, co się tłukli po ziemi i wyrzekali najszkaradniejsze bluźnierstwa, przypisywane siedzącemu w nich diabłu. Między tymi znajdowali się niekiedy i chorzy i epileptycy, którzy nawet leczyć się nie chcieli, tak im dobrze z tem było. Trafiało mi się w tym steku żebraków napotykać i brzuchomówców, co uwodzili prostactwo udając po kilka głosów odzywających się z różnych miejsc diabłów.

Za moich czasów u Dominikanów w Krakowie, w kaplicy św. Jacka, spuszczano chorągiew tego patrona na klęczących opętanych, a ci wijąc się po ziemi, okropne wycia wydawali. Pokazywano mi także wytłuczone szyby w kościele, którymi zwyciężony egzorcyzmami diabeł wylatywał, opętany zaś nic na tym nie tracił, ponieważ wedle ich rozumienia, nie jeden czart siedział w ciele komornem, lecz kilku, a każdy innym przemawiał językiem i inne nosił nazwisko..."

Dalej ten sam hr. Wodzicki opowiada: „...W dyjecezyi krakowskiej za pasterstwa Sołtyka wszystko szło starym trybem, opisanym wyżej, lecz gdy go wzięto w kuratelę, a rządy objął ksiądz sufragan Olechowski, w ciągu lat kilku zmieniły się stare nadużycia. Między innemi przez kurrendę zakazał on duchowieństwu egzorcyzmów a natomiast **przepisał, aby na opętanych używano doświadczonego lekarstwa, to jest sznurów od dzwonów, któremi smagając najlepiej diabła się wypędza. W pół roku, w całej dyjecezyi krakowskiej czarodziejskim sposobem znikli opętani, a obrazy przedtem ciągle płaczące lub mieniące się, płakać i mienić się przestały...**"

Niestety, jak się okazuje, tradycja postępowego biskupa Olechowskiego, który wariata i zdrajcę (jeszcze przed rozbiorami kumał się z Marią Teresą) Kajetana Sołtyka siłą usunął z biskupstwa krakowskiego i wynalazł skuteczne lekarstwo na opętanych nie była w Polsce zbyt żywa.

Oto po upływie kilkunastu długich dziesięcioleci, w czasie których dokonano na świecie wielu bezcennych dla ludzkości odkryć i wynalazków, w Polsce za sprawą zacofanej, względnie politycznie inspirowanej części naszego kleru, usiłującego utrzymać masy prostego ludu w ślepym oddaniu i posłuszeństwie dla swoich interesów, obrazy kościelne pozbawione przez biskupa Olechowskiego nimbu cudowności w imaginacji umiejętnie podekscytowanych tłumów prostych ludzi znowu płakać i mienić się poczynają...

Władysław Błachut

Mickiewicz „skompromitowany"

Do Redaktora „Odrodzenia"

W związku ze stopięćdziesiątą rocznicą urodzin Adama Mickiewicza, tak uroczyście obchodzoną u nas w Polsce a także w Związku Radzieckim, na Węgrzech, w Finlandii, Francji a nawet w Szwajcarii, chciałbym na podstawie polonijnej prasy podzielić się z czytelnikami „Odrodzenia" wiadomościami zza oceanu, gdzie na swój sposób przypomniano sobie Mickiewicza.

W roku ubiegłym, staraniem naszego rządu oraz za zgodą władz amerykańskich, została utworzona katedra Literatury Polskiej im. Adama Mickiewicza na Uniwersytecie w Nowym Jorku, którego protektorem jest gen. Eisenhower.

Katedrę tę rząd nasz powierzył znakomitemu uczonemu prof. Manfredowi Kriedlowi. Chociaż prof. Kriedl jest, jak wiadomo, zupełnie daleki od marksizmu, sam fakt utworzenia katedry z inicjatywy znienawidzonego przez emigrację rządu, wystarczył, aby nie tylko ogłosić Kriedla „agentem bolszewickim" i całe przedsięwzięcie przedstawić jako dywersyjną robotę, wymierzoną przeciw amerykańskiemu ustrojowi, lecz również, by zaatakować publicznie gen. Eisenhowera za współdziałanie w podobnym przestępstwie.

Prawdziwą jednak burzę wywołał list Marii Mickiewicz, w którym staruszka dziękuje generałowi za objęcie protektoratu nad katedrą nazwaną imieniem jej wielkiego dziada.

Organ Polonii „Nowy Świat" z 3 stycznia 1949 r. tak naświetla tę sprawę: „Starowinka, panna Maria Mickiewicz, żyje w Paryżu, sędziwa już jest i ułomna, ale dostała się w sieć reżimową, bo jej pomagają, a pomagają jej, bo ma nazwisko Mickiewicza i jest wnuczką poety. Teraz, kiedy w New Yorku otwarto subwencjonowaną Katedrę Literatury Polskiej imienia Mickiewicza na Columbii, co wywołało zrozumiałą reakcję negatywną ze strony Polonii, władze reżimowe postarały się o list panny Mickiewicz do Eisenhowera.

Oczywiście nie obyło się... bez bukietu pochlebstw i frazesów, a dla Eisenhowera miał być to balsam na ranę, bo to list od samej wnuczki wieszcza, pochwalający go za przyjęcie pieniędzy od ambasady (?!) w Waszyngtonie. Większej perfidii i fałszu dawno nie widzieliśmy. Cały list Mickiewiczówny jest grubo szytym, niecnym, nadużywającym nazwiska Mickiewicza fałszem".

Ale serdeczny ton, z jakim staruszka wyrażała się w swym liście o wysiłkach Rządu Polskiego, podjętych w tej sprawie, postawił amerykańskiego wodza wobec zarzutów kollaboracji i korupcji nie tylko ze strony Polonii, lecz i rodzimej opinii amerykańskiej. Sprawą zainteresowała się bowiem wszechwładna obecnie w USA Komisja Badań Działalności Antyamerykańskiej i nie wiadomo, czym by się cała ta historia skończyła, gdyby nie klęska wyborcza Partii Republikańskiej, niechętnej Eisenhowerowi.

Wprawdzie Eisenhower został uratowany i prof. Kriedl mógł spokojnie rozpocząć wykłady na nowojorskim uniwersytecie, lecz z tych samych powodów uczelnia ta straciła innego profesora literatury polskiej Artura Colemana, który dobrowolnie zrezygnował z profesury, „protestując w ten sposób" — jak donosi znów „Nowy Świat" — przeciw przyjęciu na tę uczelnię wysłannika reżimu warszawskiego", tj. Kriedla. Aby nadać swej demonstracji jak najbardziej uroczysty charakter, ów amerykański „Reytan" zwrócił się do Stowarzyszenia Profesorów Uniwersytetu w USA z prośbą o zbadanie, czy w jego sprawie nie pogwałcono zasad wolności akademickiej.

W liście swym prof. A. B. Coleman twierdzi, że pogwałcenie tej wolności mogło nastąpić, gdyż Uniwersytet Columbia postawił go przed dylematem — albo ugięcia się przed infiltracją komunistyczną (?!), albo rezygnacji ze stanowiska. „Formalnie domagam się — pisze prof. A. B. Coleman — wydania opinii, czy zmuszając mnie do pracy w wydziale organizowanym przez Kominform — Uniwersytet Columbia nie jest winnym pogwałcenia praw wolnego Amerykanina".

Bezczynność prof. Colemana nie trwała długo. Wprawdzie Amerykańskie Stowarzyszenie Profesorów Uniwersytetu nie udzieliło jak dotąd odpowiedzi na wątpliwości nurtujące nieszczęsnego profesora, lecz bez względu na jej wynik, przeniósł się on wraz ze swymi wdzięcznymi słuchaczami na inny z kolei uniwersytet w Fairleigh Dickinson, na którym jak donosi „Gwiazda Polarna" z 29 stycznia 49 r. — prowadzi akcję... zbiórki pieniężnej wśród Polonii amerykańskiej, przeznaczonej na walkę z komunizmem i jego infiltracjami.

Akcję tę Klub Polski, przy wspomnianym uniwersytecie rozpoczął od napisania odezwy, której treść zamieszcza w całości „Nowojorski Dziennik Związkowy". W odezwie tej po wyliczenia składu zarządu czytamy: „doradcą, kierownikiem i organizatorem Klubu jest znakomity, wrogi komunizmu (sic!) i ogólnie znany doktór Artur Coleman. Patronką i doradczynią programową jest również znana propagatorka kultury polskiej w Ameryce, czarująca (!) pani Marion M. Coleman". Po tym wstępie, komunikat przechodzi do nakreślenia celów i zadań Klubu: „Nadal Klub Polski jest organizacją Amerykanów polskiego pochodzenia, studiując (sic!) polonistykę u państwa Colemanów i ich pomocników wśród kulturalnych Polaków na całym świecie (?!). Zamiarem nowego Klubu Polskiego jest obznajmienie całego świata Anglosasów ze sprawami i problemami polskimi. Tylko przez artykuły w gazetach i pismach amerykańskich i przez wydawanie książek możemy dopiąć celu" — a pod tym: „Już czas nadszedł wyjść ze starej ciemności (!) (nadszedł, nadszedł! przyp. mój) i dawnego kompleksu niższości i dać się widzieć i słyszeć. Rozprawianie polityki (autent.) w domu przy stole, oczekując dzień Wolnej Polski nie wystarczy (sic). Niech każdy Polak pomoże nam w walce z komunistami. Prosimy o datki pod adresem...". Krótko i dobitnie. Szkoda tylko, że planując prowadzenie „kulturalnej akcji" i to „w skali światowej", Klub nie potrafił wydać odezwy do Polaków, napisanej poprawnie po polsku.

Jerzy K. Mikke

W sprawie ulicy poetów

Do Redaktora „Odrodzenia"

Kiedy tylko wezmę do ręki numer któregoś z naszych pism satyrycznych— zawsze trafiam na mozolnie wierszowane utwory pod takimi oto tytułami: „Na pewnego poetę", „Ballada o pewnym młodym poecie", „Do X. Y. — poety" itd., itd. Posępne te fraszki i dłuższe wierszowanki uporczywie i nieubłaganie walczą z wyimaginowanymi wadami naszych poetów.

A tu tymczasem dookoła panoszy się z trudem zwalczana biurokracja, do Paryża zjeżdżają amerykańscy generałowie na „sztabowe narady", papież bierze się do polityki, — jak się dowiaduję z „Odrodzenia" — po 13 cudów zdarza się w jednej wsi. No a co satyrycy? — Miętoszą nieszczęsnych poetów, ciskają w nich gromy za odizolowanie się od problematyki społecznej.

Dochodzi do tego, że na prowincji, na przykład u nas, dwóch początkujących poetów usiłowało w cywilnym przebraniu przekraść się do miejscowej Jajczarsko-Mleczarskiej Spółdzielni na woźnych. Czy można się dziwić tej, szczęściem na razie nie masowej, ucieczce od prześladowanego zawodu?

A z poezją nie jest chyba tak źle. Każde osiągnięcia naszego życia znajduje tak zwany oddźwięk w poezji. Nawet w prasie codziennej czytam często piękne wiersze o aktualnej problematyce; przecież i „Odrodzenie" przed rokiem drukowało poemat o Trasie W—Z. Mało tego, poeci biorą się nawet do prozy, czego dowodem dwie nowe książki o Mickiewiczu i Słowackim.

Byłem niedawno w Warszawie i trafiłem wieczorem na Mariensztat. Grała orkiestra, ze trzy chyba tysiące ludzi tańczyło na rynku. Śliczne domki, piękne oświetlenie, a górą, nad dachami, idzie sobie księżyc. Na kamiennych ławeczkach wzdychają pary, że aż nie słychać bicia rynkowego zegaru. I pomyślałem sobie wtedy — po przetańczeniu polki „Stare Miasto" z młodziutką Zetempówką — że brak tu tylko Ulicy Poetów. Ot nazwać tak chociażby ten niewykończony rządzik domów za przedszkolem R.T.P.D., nad którym spaceruje księżyc. Niech jego wysiłki nie idą na marne. A jeśli ta uliczka ma już swoją nazwę, to może wyszukać jakąś inną. Bo wart jest tego Mariensztat i warci są tego nasi poeci.

Mgr. T. Konewka

Sprostowanie

Do Redaktora „Odrodzenia"

Po przeczytaniu artykułu mojego, wydrukowanego w 31-ym numerze „Odrodzenia" z dnia 31-ego lipca 1949 roku stwierdziłem, iż opuszczona została jedna część zdania w wierszu 29-ym, a mianowicie zamiast:

„Nowoczesne dziennikarstwo datuje się od narodzin periodyków „Tit-Bits", pod redakcją George'a Newnes, późniejszego Lorda Northcliffe",

powinno być:

„Nowoczesne dziennikarstwo datuje się od narodzin periodyków „Tit-Bits", pod redakcją George'a Newnes, i „Answers" Alfreda Harmswortha, późniejszego Lorda Northcliffe".

Ponieważ wskutek przytoczonej wyżej pomyłki czytelnik dochodzi do wniosku, że lordem Northcliffe był Newnes, a nie Harmsworth, prosiłbym uprzejmie o umieszczenie w numerze następnym odpowiedniego sprostowania.

George Chandes Bidwell

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODY 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura". Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek, i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem Redakcja „Odrodzenia", Warszawa, Daszyńskiego 16, Dział „Camera obscura". Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza nagrodę w wysokości 2000 zł., którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 2.000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Andrzej Kozłowski, lat 14-cie, Łódź, Al. Kościuszki 99 m. 8, za wycinek z „Dziennika Łódzkiego" i „Głosu Robotniczego".

SPRAWA „LIPY"

Nieprawdą jest, że świat chce być okłamywany. Świadczy o tym chociażby oburzenie 14-letniego Andrzeja Kozłowskiego, który, przesyłając nam wycinki z dwóch gazet łódzkich, oświadcza, że przestanie czytać te pisma, ponieważ nie lubi „lipy". Nikt z nas nie lubi „lipy". Redaktorzy muszą to uwzględnić. I nic tu nie pomoże tłumaczenie, że „lipa" zakradła się do gazety wskutek niedbałości. Tym gorzej. Niedbałość w drobiazgu, może — jak w wypadku Andrzeja — podważyć zaufanie do prawdomówności wszystkich szpalt. Podobnie jak bojowość łodzi podwodnej mierzy się wartością bojową najsłabszego człowieka załogi, tak szczerość i prawdomówność gazety mierzy się autentycznością najbłahszej notatki. Czy można wierzyć w szczerość i prawdę artykułu wstępnego gazety, która na ostatniej stronie informuje nas tym samym, rzeczowym tonem o... wężu morskim?

13-go czerwca „Dziennik Łódzki" zamieścił następującą fotografię z podpisem „Młodzi kibice kolarstwa na trasie Wyścigu „Dziennika Łódzkiego". Z ich min można wyczytać, że impreza była interesująca".

6-go lipca „Głos Robotniczy", wychodzący również w Łodzi, zamieścił tę samą fotografię z innym podpisem: „Z takim entuzjazmem młodzież ZSRR dopinguje swoje ulubione zespoły".

Nie wątpię, że oba wspomniane pisma mają szczere intencje służenia prawdzie. Ale przez niedbalstwo i lekkomyślność sprowadzamy nieraz samych siebie do roli owej krowy, co dużo mleka daje, a potem jednym kopnięciem wywraca pełne wiadro...

CZUCIE I WIARA...

Z felietonu Jalu Kurka „Po co mam kość ogonową" w „Dzienniku Polskim".

Czy uczucia i instynkty nie nadają kierunku i zabarwienia ludzkim myślom i czynom? Czy usposobienie, temperament nie mają większego znaczenia niż rozum? U niższych zwierząt, które go nie mają poznajemy jak niewiele znaczy nasz intelekt. Ich procesom życiowym towarzyszą niekiedy wybuchy psychiczne niespotykane nigdy u człowieka. Pies może się tak cieszyć i tak żałośnie zawodzić, jak tego nie potrafi żadna kobieta. Afekty inteligentnego, dorosłego człowieka są niedołężne w porównaniu z eksplozjami radości i porywami gniewu u dziecka. Ale nawet u dorosłych większą rolę odgrywają niż namysł i rozwaga. Bledniecie, czerwienienie się, pocenie, drżenie, to synonimy zachwytu, odrazy rozpaczy, miłości, lęku. A cóż silniejszego nad nie? Czymże jest w gruncie rzeczy poezja? Gorączką duszy, drgnieniem życia duchowego. Jak dusza stanowi niepodzielną jedność z ciałem! Psychika penetruje w stany ciała aż do zagubienia się w nich. Jak stał się Demostenes mówcą? Jak Roosevelt zwalczył swą ciężką chorobę? Można odwoływać się do swej psychiki, wiedząc jak potężnie oddziaływuje ona na ciało.

A histeria? Neurastenik pod wpływem jakiegoś nierozwikłanego konfliktu życiowego rozwija w sobie aż do przesady zdolność cielesnego wyrażania przeżyć duchowych. Mdleje, chudnie, wije się w konwulsjach, miewa stany ekstazy, jasnowidzenia, nadnormalnych zdolności w różnych kierunkach, gra na swych narządach jak wirtuoz na fortepianie.

„Czy usposobienie, temperament — pyta Jalu Kurek — nie mają większego znaczenia niż rozum?". Czasem mają... Ale sam Pan widzi, co z tego wychodzi.

POTKNIĘCIE

Od ob. ob. Borkowskiego i Zaremby, referentów oświatowo-kulturalnych w Spale otrzymaliśmy kilka pocztówek z serii wydanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Oto jedna z nich:

Pointą sprawy jest jednak napis na odwrocie pocztówki: „Żniwa pod Opolem". — „Lipa" — powiedziałby znowu Andrzejek Kozłowski.

ZGODA BUDUJE

Jedna z odpowiedzi „adwokata" „Expressu Wieczornego" brzmi:

Helena Zielińska — Najlepiej sprawę załatwić polubownie. Przecież, jeżeli Pani nie będzie otrzymywała od lokatorów zwrotu za gaz, to po prostu można zamknąć gazomierz i wówczas nikt nie będzie mógł korzystać z gazu.

Jeżeli przy okazji dojdzie do bójki, to bijcie się, ale polubownie...

ODPOWIEDZI „CAMERY"

Jerzy Bereda, Warszawa — O powieściach obrazkowych pisaliśmy już. Może z czasem zniknie ze szpalt „Dziennika Bałtyckiego" „Tajemniczy eliksir". Na razie jesteśmy w sytuacji owych szakali co wyją..., a karawana bzdury idzie dalej...

Jerzy Siewierski i Leszek Szymański, Warszawa. Dziękujemy za przysłane książeczki: „Wicek i Wacek — ucieszne przygody dwóch wisusów w czasie okupacji, na ich cześć wierszem opisane". Szkodliwość niniejszego wydawnictwa polega, naszym zdaniem, na tem, że jego zaletach, to znaczy na tym, że jest żywe i dowcipne, a więc bardzo popularne, zwłaszcza wśród młodzieży. Należy żałować, że wydawnictwo „Expressu Ilustrowany", zawzięło się, by właśnie z obozów koncentracyjnych zrobić groteskę, a na bohaterów naszego ruchu oporu wybrać popularnych komików Pata i Patachona.

Biblioteka w Prenumeracie

GUY DE MAUPASSANT

OPOWIADANIA

Hum. R. Czekańska-Heymanowa

str. 277

B. w P.

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn. 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26

Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-84193 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"